

SPOTKANIA SŁIRZAN

Nr 2 (167)

LUBIN

2024 r



Grupa żydowskich więźniów z obozu przymusowej pracy w Jaktorowie w drodze na miejsce pracy (szosa Lwów-Tarnopol). Mężczyzna z lagą i opaską na rękawie na pierwszym planie, to zapewne kapo. Zdjęcie wykonano prawdopodobnie w lecie 1942 r. Fotografie pobrano z: Damian K. Markowski, *Ostatni dzień Hanaczowa*.

Szanowni Krajanie,



*U*kraina od dawna boryka się z korupcją – zarówno drobną, jak i na wysokim szczeblu. Kwitła w czasach ZSRR i ma się dobrze po 33 latach od uzyskania niepodległości. Drobną korupcją jest powszechna i akceptowana przez dużą część społeczeństwa jako zjawisko niemal nieuniknione. Lata temu, w czasie pobytu na Ukrainie, widząc wyciskacz do czosnku, zapytałem krewnego, dlaczego na ręczce wyciskacza odlana jest cena. Odpowiedział krótko - żeby nie było korupcji.

Oto kilka przykładów ujawnienia nieczystych interesów. Pierwsza z nich związana jest z osobą ptk. J. Borysowa, który do końca czerwca kierował obwodowym centrum uzupełnień w Odessie. Dziennikarz ustalił, że po wybuchu wojny kupił m.in. willę i pomieszczenie biurowe w Hiszpanii o łącznej wartości ponad 4 mln euro. Prezes Sądu Najwyższego Ukrainy, W. Kriaziew, został zatrzymany 15 maja 2023 r. w chwili przyjmowania łapówki w wysokości 3 mld dol.

W styczniu 2023 r. ujawniono dużych rozmiarów aferę korupcyjną w Siłach Zbrojnych Ukrainy. Aferzystów rozpracował dziennikarz. Wyszło na jaw, że resort obrony kupował dla SZU żywność po cenach wyższych od obowiązujących w hipermarketach! Państwo straciło na tym „interesie” 13 mld hrywien.

W kraju, gdzie kilku oligarchów związanych z polityką ma majątek większy niż cały dochód narodowy państwa, władza nie może powiedzieć o sobie, że jest niezależna. Jest takich kilka państw na świecie. To też przypadek Ukrainy.
Lubin, luty 2024 r.

Józef Wyspiański

Spis treści numeru 167

Str.

3. L. Cyganik. Słodkie i kwaśne odcienia życia (VI).
20. M. Piotrowska. Niewydarzona miłość.
20. K. Czawaga. O kilimie gliniańskim.
23. Kronika Samuela Golfarda (III).
33. Piosenki weselne ze Świrza („W niedzielę z rana”, „W polu przy drodze”).
36. Notatki z powiatu w gazecie „WSCHÓD” (I).
39. K. Salkitzloglou. O chłopach, panach i o państwie świrskim (II).
43. Księgi metrykalne z parafii pow. przemysłańskiego znajdujące się w archiwum lwowskim (I).
46. Informacje.

Kartka z pamiętnika

Red. Poniższy tekst jest fragmentem książki Leopolda Cyganika o tym samym tytule, która ukazała się w 2020 r. Niektóre fragmenty, ze względu na drastyczną treść zostały przez redakcję usunięte. Poprzedni odcinek wspomnień ukazał się w numerze 162.

Leopold Cyganik

Słodkie i kwaśne odcienie życia (cz. VI)

W poradni przeciwalkoholowej

W mojej nowej pracy poznałem też zupełnie inny rodzaj lecznictwa. Na Gdańskiej utworzona została poradnia przeciwalkoholowa, której kierownikiem został dr Kożuszek. Brakowało jednak lekarza, który objąłby w niej stanowisko. Dlatego szefowa przychodni, pani doktor Weber, uznała, że tę funkcję powierzy mnie. No bo co to za lecznictwo? „Alkoholizm to przecież nie choroba tylko fanaberia. Alkoholik to nie pacjent”. Każdy może się nim zajmować. Ja byłem więc ten „każdy”, który zaczął przyjmować pacjentów jako lekarz w poradni, choć ciągle na etacie przyuczonej pielęgniarki... Doktor Kożuszek przychodził najpierw częściej, potem już rzadko. Moja placówka mieściła się przy Szczytnickiej w budynku u sióstr, pracujących w służbie zdrowia. Nie wiem, jaki to zakon ale siostrzyczki nosiły na głowie takie „samoloty”. Gdy dr Kożuszek pracował na ostrym dyżurze, chodziłem, by się u niego szkolić. Nawet po raz pierwszy dopuszczono mnie tam do stołu operacyjnego. W asyście doktorów przeprowadziłem zabieg chirurgiczny, który dobrze mi „wyszedł”. Pamiętam – to był przypadek wyrostka robaczkowego. Często też szylem. Miałem przypadek pacjenta, który pracował w kotłowni. A że był wysoki i nieodpowiednio nisko się schylił, uderzył w kątownik w obramowaniu wjazdu i rozciął sobie głowę na piętnaście centymetrów. Rana bardzo krwawiła. Trzeba było wiele wysiłku i precyzji, by ją zszyć. Ale i to nieźle mi szło. W domu ćwiczyłem chirurgiczne węzły. Bardzo mi się to podobało. W międzyczasie przydał mi się też fakt, że jestem dwuręczny, co w zawodzie chirurga jest dodatkową, bardzo cenną i niemal niespotykaną zdolnością. Miałem wszystkie predyspozycje i gro-

madziłem potrzebną wiedzę do tego, by pójść na wymarzoną specjalizację. Bez większego wysiłku zaliczyłem czwarty rok.

Nie wiem kiedy to się stało, ale mój organizatorski zmysł znów dał o sobie znać. Zanim zdążyłem się zorientować, moja nowa praca pochłonięła mnie aż nadto. Przyjmując alkoholików w poradni doszedłem do wniosku, że moi pacjenci naprawdę nimi są i mają poważny problem ze zdrowiem. Nie tylko psychicznym, ale i fizycznym. Uznałem, że jeden poikoik to za mało, by móc poważnie podejść do sprawy. Powiniennem mieć autentyczną poradnię, w której mógłbym się zająć pacjentami tak, by im pomóc. W owym czasie moim kolegą był kierownik Wydziału Zdrowia Wrocław Śródmieście, Kazimierz Kazimierski. Urząd mieścił się w budynku przy ulicy Krasieńskich. Poszedłem do niego ze swoim pomysłem. Uznał, że jest ciekawy, ale muszę najpierw znaleźć lokal. Miałem w nim utworzyć nie tylko poradnię wojewódzką z prawdziwego zdarzenia, bo taka już istniała w postaci małej kłitki, w której pracowałem, ale i dzielnicową, do której mogliby przychodzić pacjenci z okolicy na porządną terapię. Do utworzenia podobnej placówki popchnęła mnie pewna silna myśl. Uważałem, że władza rozpija ludzi. A ja nie lubiłem tej władzy... Chciałem na wszelki możliwy sposób jej w tym przeszkodzić. Oczywiście nie był to powód jawny, ale umiałem przekonać mojego kolegę do pomysłu, podając inne – równie sensowne. Dowiedziałem się, że z ulicy Piastowskiej 40 „wyprowadza się” Komenda Milicji Obywatelskiej i przenosi na Grunwaldzką. Postanowiłem zawalczyć o lokal: parter i pierwsze piętro.

Zależało mi na tym, by stworzyć poradnię, którą będzie zarówno dzielnicową jak i wojewódzką. Lokal ten miasto postanowiło przeznaczyć na takową placówkę. Ale pomieszczenia wymagały remontu stropu. Aby go dokonać trzeba było odpowiedniej, aktualnej dokumentacji, pozwoleń i mnóstwa czasu. A mnie się śpieszyło. Traf chciał, że mój szwagier, mąż Tosi, pracował wówczas w spółdzielni remontowo budowlanej przy Karola Miarki. Poszedłem do niego „po prośbie”. Mimo tego że w pierwszej chwili sam napomknął o wymaganych pozwoleniach, już w kolejnym tygodniu bez większego oporu pojawił się w lokalu ze swoimi ludźmi. A już na następny miesiąc prace remontowe trwały w najlepsze. Zrobiliśmy nie tylko strop, ale i wymalowaliśmy ściany, wstawiliśmy piece do ogrzania pomieszczeń. Po bardzo niedługim czasie parter lśnił. Klub był gotowy. Znajdował się po prawej stronie od bramy wejściowej do budynku, a po-

radnia po lewej. Łącznie liczył siedem pomieszczeń. Jak na tamte czasy klub był doskonale wyposażony, zarówno w dobre meble, jak i najnowszy sprzęt. Dla odwrócenia uwagi klubowiczów od alkoholu, zapewniającego jak dotąd jedyną rozrywkę, zainwestowaliśmy w gry planszowe, książki i prasę. Wstawiliśmy do niego nawet telewizor marki Stadion z NRD. W klubie można było napić się kawy lub herbaty i spędzić miło czas. Najważniejsze: bez alkoholu. Było to o tyle trudniejsze, że zaraz za niewielkim skwerkiem naprzeciwko klubu mieściła się znana we Wrocławiu restauracja Piast, w której wódka lała się litrami. Poprzeczka była więc wysoko, ale ja wierzyłem w swoje przedsięwzięcie.

Dumny z siebie postanowiłem w końcu oznajmić mojej szefowej, że skończyłem swoją poradnię. Dotąd nie chwaliłem się, w jakim celu remontuję lokal przy Piastowskiej. Czar przysł, gdy zapytałem czy mogę wyremontowaną przez siebie, dopieszczoną, poradnię objąć. Nie zgodziła się... Nie mogłem w to uwierzyć. Nie chciała się podzielić. Liczyła na to, że dostanie dodatkowe pomieszczenia dla siebie. Ja w międzyczasie zdążyłem zaniedbać egzaminy dyplomowe, bo przecież remont lokalu pochłonął moje wszystkie siły i czas. Załatwiałem pieniądze z funduszu przeciwalkoholowego, sprzęty, a ona po prostu powiedziała „nie”. Tym bardziej, że jako dyrektor z wykształceniem niemedycznym (była psychologiem) nie uważała alkoholizmu za chorobę. Doktor Weberowa postanowiła zagarnąć mój piękny, odnowiony lokal dla siebie i aby zamknąć mi usta znów zaczęła dociskać mnie w kwestii egzaminów dyplomowych (bo dotąd miałem tylko absolutorium). Oczywiście żeby nie było tak łatwo, jak zwykle u mnie, objęła mnie nowa ustawa o szkolnictwie wyższym, w myśl której zanim przystąpiłem do egzaminu dyplomowego musiałem odbyć dziewięćmiesięczny staż z czterech podstawowych dziedzin medycyny: interny, ginekologii z położnictwem, pediatrii i chirurgii. Można było wziąć obowiązkową internę oraz pozostałe siedem miesięcy na wybranym przez siebie kierunku. Tak zrobiłem. Ponieważ zajmowałem się na Gdańskiej alkoholikami, padło na psychiatrię. Ale nawet tam, w klinice na Kraszewskiego, myślałem o tym, że będę chirurgiem. Jako uzdolniony manualnie, dwuręczny, przyszły chirurg, na oddziale trzecim u docent Krauze, wykonywałem punkcje dołędźwiowe, które wymagają już pewnej precyzji, wprawy i wiedzy.

Aby mnie zachęcić do kontynuowania psychiatrii po stażu (bo przez poradnię, której doktor Weberowa nie pozwoliła mi objąć, egzamin dy-

plomowy przesunął mi się o rok), moja szefowa wysłała mnie pod Łódź do Kochanówka, na mój pierwszy i jakże ważny kurs antyalkoholowy dla młodych psychiatrów. W końcu dostałem etat... pielęgniarki. Już nie przyuczonej. Potem jeszcze jeździłem na kursy i zjazdy psychiatryczne, zdobywając coraz większą wiedzę w zakresie tej dziedziny. Ponieważ najwyraźniej i tutaj nieźle mi szło, a wiele osób wiązało nadzieje z moją osobą w roli psychiatry, jeszcze przed egzaminami dyplomowymi dostałem pismo z ministerstwa, w którym informowano mnie, że wyraża się zgodę na rejestrację mnie we Wrocławiu, jako miejscu pracy. A należy pamiętać, że wtedy w Polsce Ludowej obowiązywał przydział pracy. I jeśli skierowano by mnie do Sopotu, musiałbym tam pracować. Wiedziałem, że nie muszę się już śpieszyć ze zdaniem egzaminów dyplomowych.

Niemniej jednak należało się za nie w końcu wziąć. Jednym z najważniejszych egzaminów, które musiałem jeszcze zdać, była interna u profesora Szczeklika. Ale z nią poszło mi dość łatwo. Wspominałem już, że po raz pierwszy do pracy na Gdańskiej udało mi się dostać głównie dzięki przyjaciółce mojej siostry – Ewie. Była wówczas w ciąży. Po jakimś czasie, bywając u niej w domu (miałem do niej jakiś interes, choć dziś już nie pamiętam o co chodziło), dowiedziałem się, że córka, którą urodziła, była dzieckiem profesora Szczeklika właśnie. Wpadła on do Ewy po dyżurach. Ze dwa razy zjadł ze mną kolację.

Egzamin u profesora poza mną zdawały jeszcze trzy osoby. Profesor Szczekliki był w kiepskim nastroju, rozdrażniony, ponieważ kilka tygodni wcześniej operowano mu kamienie nerkowe.

- Kto pierwszy zdaje? - zapytał posępnie.

- Ja - odezwał się mój kolega.

Dostał trzy pytania, pierwsze na temat chorób tarczycy. Zaczął odpowiadać. Profesor Szczekliki zwracał szczególną uwagę na sposób wyśławiania. Niefortunny, mój kolega podzielił schorzenia tarczycy na niedoczynność i hyperthyreose.

- Słucham? - zapytał profesor.

- Niedoczynność i hyperthyreose... - powtórzył kolega.

- Pan jest Koreańczykiem czy Grekiem? - zapytał oburzony profesor. [1]

[1] Pytanie to nie było przypadkowe. W tym czasie studiowali z nami zarówno Grecy jak i Koreańczycy.

- Mów po łacinie albo po polsku - odpowiedziałem szeptem. Czulem, że dziś żadne z nas nie zda interny.

Kiedy kolega podzielił tarczę ujednolicając nazwy, profesor uspokoił się i egzamin przebiegał dalej. I wszystkim nam udało się zdać...

Gdy znów poszedłem do domu Ewy, prosiłem żeby zapytała profesora, jak ocenia ów egzamin. Odpowiedział jej później: „W tym dniu „twój Cyganik” dostał dostateczny, ale może uważać, że odpowiadał na bardzo dobry”.

Musiałem też, na przykład, zaliczyć choroby zakaźne u profesora Kaniaka. Ten egzamin akurat zdawałem z moim kolegą. Profesor bardzo szedł nam na rękę chcąc byśmy ów egzamin zdali, ale najwidoczniej my zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, by jednak nie zaliczyć. Dlatego nas oblał.

Pozostałe egzaminy poszły mi nieźle, choć poza samą nauką jak zwykle dużo pracowałem, starając się godzić zarabianie z końcowym etapem edukacji. Ostatecznie zaliczyłem także nieszczęsne choroby zakaźne, choć był to mój ostatni egzamin, a nie drugi, jak początkowo chciałem.

Jeszcze zanim zaliczyłem egzaminy dyplomowe poznałem kilka barwnych postaci ze środowiska lekarskiego. Jedną z nich był z pewnością doktor Wiesław Morasiewicz. Aby utrzymać rodzinę, musiał pracować na wielu etatach. Pamiętam jak zetknąłem się z nim jeszcze na Gdańskiej. W ten dzień czekało na niego wielu pacjentów. Doktor wpadł nagle do sekretariatu, chwycił za słuchawkę telefonu i po chwili powiedział do kogoś:

- Jestem na Gdańskiej, zaraz wychodzę.

I wtedy zabrał się za przyjmowanie pacjentów. A było ich ze dwudziestu. Pamiętam, że doktor jeździł SHL-ką, pierwszym powojennym motorem, całą chromowaną. Miał też ponemiecki płaszcz, długi, gumowy, nieprzemakalny. Do tego długie rękawice i hełm, a nawet pałkę i straszak. I w takim stroju jeździł po województwie. Ponieważ miał mnóstwo pracy, jego koledzy denerwowali się. Dość często zdarzało mu się nie wykańczać historii chorób pacjentów. Widocznie nie miał na to wystarczająco dużo czasu. Współpracownicy poskarżyli się docent Demianowskiej, która wówczas prowadziła klinikę psychiatryczną przy Kraszewskiego 23. Obiecała go przypilnować. Przyszła do kliniki, usiadła za biurkiem i oficjalnie go wezwała. Kazała też przyprowadzić jego pacjentkę.

- Proszę przeprowadzić badanie - powiedziała, gdy dr Wiesiu zjawił się w jej gabinecie.

Morasiewicz posłusznie usiadł i rozpoczął wywiad. Po jakimś czasie zorientował się, że pani docent zadaje więcej pytań niż on sam. Podsunął jej pod nos historię choroby i długopis. Docent Demianowska odruchowo zaczęła opisywać pacjentkę. Nawet nie zauważyła, gdy po jakimś czasie doktor zniknął.

- Nie mam pojęcia, jako to się stało - mówiła potem. - On badał, a ja opisywałam...

Abstrahując, mąż profesor Demianowskiej był znanym profesorem psychiatrii i kierownikiem kliniki we Lwowie. Niegdyś niefortunnie przedstawił studentom pacjenta, który pracował w aparacie ściągania i podczas prezentacji zaczął mówić o rzeczach, które nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego. Ktoś „życzliwie” doniósł odpowiednim władzom o wykładzie. Profesor został na wiele lat (naprawdę długo, bo do kadencji Gomułki) zawieszony w prawach prowadzenia zajęć. Pamiętam piękny wykład, który wygłosił po przywróceniu mu praw wykładowcy. Muzykoterapia w psychiatrii. Dla nas brzmiało to zupełnie nieprawdopodobnie, a profesor Demianowski praktykował podobne zastosowania już we Lwowie.



Dolnośląskie Centrum Zdrowia Psychicznego we Wrocławiu.

Źródło: www.dczp.wroclaw.pl/historia.

Pewnego dnia lekarze z kliniki otrzymali zaproszenie na zjazd psychiatrów. Zaproponowałem pani profesor Demianowskiej, byśmy polecili do Warszawy samolotem zamiast męczyć się w długiej podróży pociągiem. Z początku sceptyczna, w końcu się zgodziła. Była zachwycona. Mimo to zaszczyt zbierania za to podziękowań przypadł komuś innemu, kto twierdził, że pomysł z samolotem był jego, a nie mój. Niestety, nawet o takie rzeczy wtedy się kłócono, choć... czy dziś jest inaczej? W każdym razie pani profesor nie do końca była zainteresowana samymi wykładami. Miała swoje hobby i wiele możliwości w Warszawie, by poszerzyć swoją kolekcję. Lubiła mianowicie „bibeloty” związane ze starożytnym Egipsem. U mojego kolegi załatwiłem jej samochód z kierowcą, który woził ją od jednej Desy (sklep z antykami) do drugiej. Raz nawet jej towarzyszyłem, a pani profesor pokazywała mi hotel, w którym mieszkała ze swoim mężem, gdy przyjeżdżała do stolicy ze Lwowa.

- Tam, te górne półokrągłe okienka na ostatnim piętrze, widzisz? - pytała mnie, gdy przejeżdżaliśmy obok hotelu Polonia.


Za czasów pana profesora Dymianowskiego żaden z podróżujących z nim asystentów nie płacił za uczestnictwo w jeździe. I ja wówczas też nie. Chlubiła się tym.

Po otrzymaniu dyplomu rozpocząłem staże podyplomowe. Na ginekologii dopuszczono mnie do pełnienia „ostrych dyżurów” (jako trzeciego lekarza). Dyżur rozpoczynałem o ósmej rano. Trwał dwadzieścia cztery godziny. Po dyżurze szedłem do poradni. Czasem, w domu, by zasnąć po trzydziestu godzinach pracy, potrzebowałem kubka mocnej kawy... Ale podobało mi się to. Lubiłem swoje zajęcia. Na ginekologii miałem kilku kolegów, z którymi poznałem się już wcześniej. Nieźle mi szło, posiadałem więc opinię dobrze rokującego w zawodzie. Lubiła mnie nawet salowa operacyjna, starsza pani ze Lwowa. Byłem jedynym stażystą, któremu poza lekarzami i asystentami przynosiła rano kawę. Inni stażyści „nie zasługiwali” na podobny gest. To była prosta osoba, sroga i specyficzna. Ale do niej należało przygotowanie sali operacyjnej przed zabiegiem. Dlatego była tak ważna i nikt nie ważył się jej sprzeciwić.

Pracowała z ordynatorem Hałasińskim, moim przełożonym od samego początku mojego stażu z tej dziedziny. Należał on do grona niezwykle barwnych postaci środowiska lekarskiego. Pomimo że był na co dzień osobą wręcz dystygowaną, opowiadał czasem ciekawe historie z własnej młodości. Na przykład kiedyś na oddział do pracy odprowadziła go

orkiestra z lokalu.

Pracując na psychiatrii, widząc i wiedząc coraz więcej na temat choroby alkoholowej, zacząłem namawiać lekarzy ze szpitali psychiatrycznych do stworzenia oddziałów detoksykacyjnych. Uważałem, że jeśli praca z pacjentem ma przynosić efekty, najpierw trzeba go odzwy-


POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
AKADEMIA MEDYCZNA WE WROCŁAWIU
WYDZIAŁ LEKARSKI, FARMACEUTYCZNY
INSTYTUT

D Y P L O M

Obywatel Lek. Leopold Cyganik
urodzony dnia 9 lipca roku 1932 w ELONIE

na podstawie przedłożonej rozprawy doktorskiej pod tytułem:
Analiza orzecznictwa lekarskiego w Komisjach Społeczno-Lekarskich do Spraw Przemysłowego Leczenia Alkoholików w Kraju w latach 1975-1979

oraz po złożeniu przepisanych egzaminów uzyskał stopień

Doktora nauk medycznych z zakresu medycyny
leczniczej Akademii Medycznej we Wrocławiu

nadany uchwałą Rady Wydziału Lekarskiego
z dnia 16 marca 191984.

PROMOTOR prof. dr hab. August Lasiak REKTOR prof. dr hab. Marian Kalamowski DZIEKAN doc. dr hab. Józef Brzezinski

Nr 1521/94

Wrocław, dnia

Dyplom za moją rozprawę doktorską, uzyskany w Akademii Medycznej

czaić fizycznie od chęci sięgnięcia po alkohol. Szpitale często nie posiadały takich oddziałów. Wszyscy zasłaniaли się ustawą o przymusowym leczeniu i nie zaprzęтали sobie głowy niepotrzebną, dodatkową pracą. Ja oczywiście byłem owej ustawie przeciwny, więc obrałem sobie za cel namawianie, a potem szkolenie. Uświadamianie lekarzy, że alkoholizm to choroba. Że należy ją leczyć przez detoks, terapię zajęciową i rodzinną oraz autoterapię - pracę nad sobą.

Po jakimś czasie udało mi się nakłonić dyrektora sanatoriów przeciwgruźliczych w Sokołowsku do częściowej realizacji takiego planu. Często pacjenci pijący nie dbali o zdrowie i w tamtych latach zapadali na gruźlicę. Nikt nie chciał ich wówczas przyjąć. Kiedy taki pacjent znów wypił na terenie placówki medycznej, wydalano go z niej. Pozostawał sam na pastwę dwóch wyniszczających chorób. Dyrektor Domin, bardzo zresztą światły człowiek - artysta, który w owych czasach robił rękodzieło, w tym meble i dekoracje - zgodził się na utworzenie oddziału dla gruźlików alkoholików. Bo we Wrocławiu owszem, posiadaliśmy oddział, ale dla psychicznie chorych gruźlików. Ale alkoholizm to przecież „nie choroba”, mówiono wszem i wobec. Zatem nie przyjmowano na ten oddział alkoholików. Sanatorium w Sokołowsku było ciekawe pod wieloma względami. Jego dyrektor był jednocześnie przewodniczącym gminy. Toteż większość mieszkańców gminy pracowała w sanatorium właśnie. Celem nowego oddziału miało być nie tylko leczenie samej gruźlicy, ale i detoks, a potem terapia przeciwalkoholowa.

Niestety, po odtruciu pacjenta jedyną formą podtrzymania jego abstynencji była terapia zajęciowa. Kiedy obowiązywała terapia pracą, szpitale psychiatryczne, jak już napomknąłem, zatrudniały na terenie wielohektarowego ośrodka zdrowia pacjentów. Dlatego między innymi taka forma „leczenia” opłacała się państwu.

Psychiatria u boku chirurgii

Po uzyskaniu dyplomu lekarza zostałem powołany na kierownika Wojewódzkiej Poradni Przeciwalkoholowej. Już jako lekarz, a nie pielęgniarka. Niestety na Gdańskiej, a nie w mojej poradni z pięknym klubem. Moja szefowa z kolei zaczęła się zajmować „leczeniem” mleczkim pszczelim. (...) Preparat dostarczał jej zresztą doktor Weberem z Akademii Rolniczej. Mleczko było lekiem na wszelkie zaburzenia psychiczne u dzieci. Nawet na ociężałość umysłową, jako dodatek do leczenia pa-

daczki, na wady wymowy i zaburzenia wychowania! (...) Personel lekarski czuł się zobowiązany wobec niej i dosłownie na „wszystko” przepisywał ową substancję. Byłem jedynym wśród lekarzy, który nie wspomógł szefową i nie przepisał ani grama. Odwdzięczała mi się na przykład tak: przygotowywałem odpowiedzi na pisma zewnętrznych instytucji, dotyczące alkoholu i alkoholizmu lub inne, zlecone przez samą szefową, które zanim wyszły z przychodni, musiały zostać przez nią podpisane. Każde traktowała tak samo. Kreśliła, zmieniała treść i kazała przepisać od nowa. Grzecznie się wtedy odklaniałem i po dwóch dniach przynosiłem to samo niepoprawione, ale na nowo przepisane pismo.

- I teraz to można wysyłać! - mówiła, nawet nie czytając. Mimo to zawsze z pierwszą wersją mnie odprawiała.

Poszedłem w końcu na staż podyplomowy w szpitalu na pl. Pierwszego Maja. Znów musiałem zmierzyć się z pediatrią i interną. Staż z pediatrii zrobiłem właśnie tam, na oddziale noworodków. Ginekologia z położnictwem to była już inna historia. Dopuszczono mnie do dyżurów nocnych, za które mi płacono. Jeszcze nie zdążyłem dotknąć interny oraz ukożchanej chirurgii, gdy wydarzyło się coś, co odmieniło moje życie.

Pewnego dnia, w październiku 1961 r., zaprosił mnie do siebie szef wydziału zdrowia, dr Stanisław Penar.

- Doktorze mam dla pana propozycję... nie do odrzucenia - zaczął.

- Zamieniam się w słuch - odpowiedziałem niepewnie.

- Chciałbym, żeby zorganizował pan zakład dla alkoholików z nakazem przymusowego leczenia.

- Jasne, doktorze... Ale ja mam staż do zrobienia. Moja profesja idzie trochę bokiem do psychiatrii.

- Rozumiem - doparł.

- Nie mam doświadczenia w organizowaniu podobnych placówek.

- W takim razie pojedzie pan przyjrzeć się podobnym ośrodkom w Polsce. Dostanie pan delegację i nieco się poduczycy - mówił.

- A co z chirurgią? Został mi staż do zrobienia - zapytałem w końcu. Ciągle psychiatria stała mi kością gardle chirurgicznej kariery.

- Kiedy robi pan swoje, zapewnię panu porządny staż, gdziekolwiek pan zechce - uspokoił mnie.

- I kiedy zechcę?

- Tak.

- Obiecuję pan?

- Owszem.

Faktycznie, pojechałem najpierw w okolice Warszawy (do Szpitala Psychiatrycznego w Pruszkowie), potem do Szpitala Psychiatrycznego w Drewnicy, do Zakładu w Zimnej Wodzie, a później do Wirowa koło Białej Podlaskiej. Na Dolnym Śląsku odwiedziłem Lubiąż i Bolesławiec. Obejrzałem szpitale-molochy, z ich całą strukturą i organizacją. Wiedziałem, że nie będzie łatwo zorganizować podobną placówkę. Po niedługim czasie zorientowałem się, że w żadnym z odwiedzonych przeze mnie miejsc nie zdobędę przydatnych do tego celu wiadomości.

Po powrocie do Wrocławia dr Penar polecił mi znaleźć obiekt na terenie Dolnego Śląska. W naszym województwie wciąż stało dużo poniemieckich pałaców, dworców i koszar. Moim zadaniem było znalezienie odpowiedniego miejsca na stworzenie zakładu. Jednym z pierwszych obiektów, jaki obejrzałem, był pałac w Czarnym Borze. Zaraz po wojnie w budynku mieściło się prewentorium przeciwgruźlicze. Był w niezłym stanie, jednak wymagał gruntownego remontu. Drugi znajdował się w Dębrzniku i był w dużo lepszej kondycji. Mieszkali w nim nawet jacyś ludzie. Był on jednak mniejszy niż ten w Czarnym Borze. Poza tym, ci lokatorzy...

Wróciłem więc do Czarnego Boru. Ściany stały, okna były kompletne. Woda płynęła w rurach. Tutaj postanowiłem ulokować ośrodek. Umówiłem się z dr. Penarem, że pobędę na miejscu rok, najdłużej dwa i wrócę, by zostać chirurgiem. Aby rozpocząć działalność, musiałem mieć głównego księgowego. Człowiek ten nazywał się Nalaszek. Nie wiem, kto mi go polecił. W każdym razie obaj dostaliśmy nominacje, Nalaszek z mojego wskazania. Następnie musiałem zarejestrować w Urzędzie Wojewódzkim moją nową jednostkę. Nie bez powodu walczyłem o to, by nazywała się szpitalem. Oznaczało to, według obowiązującej wówczas nomenklatury, że otrzymam większe fundusze na etaty i utrzymanie placówki. Nie mówiąc już o samym prestiżu, jakiego nadawała ośrodkowi owa nazwa.

Z Nalaszkiem pojechaliśmy do banku uruchomić konta celem pozyskania środków, wyrobiliśmy pieczątki i rozpoczęliśmy pracę nad szpitalem.

Zatrudniłem stróża. Człowiek ten nazywał się Detyna i mieszkał tuż obok nowego ośrodka. Po kilku dniach przyszedł do mnie.

- Mam taki problem - powiedział.

- Słucham pana - odparłem.

- Jak ja się mam do pana zwracać? Panie „likarzu”? Panie doktorze? Panie dyrektorze?

- Panie Detyna, jak pan chce... - odrzekłem. I nawet nie pamiętam czy ustaliliśmy jakiś tytuł, czy nie.

Praca nad tworzeniem szpitala trwała około miesiąca. Zatrudniłem magazyniera, Tomaszewskiego. Wtedy mogłem zacząć robić potrzebne remonty i sprowadzać sprzęt, między innymi wyposażenie kuchni, pralni, łazienek, i innych, o podstawowym znaczeniu. Należy pamiętać, że wówczas w Polsce panował taki ustrój, który nie zezwalał na samodzielne podejmowanie decyzji dotyczących przystosowania i uruchomienia działalności podobnej jednostki. Z perspektywy czasu oceniam swoje działania jako pisane na „wariackich papierach”, ponieważ gros decyzji podejmowałem bez zgody jednostek nadrzędnych, takich jak partia. Na wszystko trzeba było zgody. Na zakup wyposażenia, na przebudowę wewnątrz budynku, na zatrudnienie kogokolwiek. Właściwie z niczego nikomu się nie spowiadałem. Działalem sam i dobrze na tym wychodziłem.

Wkrótce zaczęło się robić chłodno. Nadchodziła zima, z tego co pamiętam, ciężka. W ośrodku nie było ogrzewania. Woda nie płynęła i trzeba było naprawić. Tym bardziej że mieliśmy kuchnię. Tylko że trzeba było zainstalować w niej trzon do gotowania. Zaczęliśmy od sprzątanía. To były gruntowne porządki. Należało uszczelnić dach, z sutereny odprowadzić wodę, gdyż przeciekały ściany, uszczelnić cały budynek, doprowadzić nowymi kablami prąd i oszkląć to, co już oszklone nie było. Ponieważ miałem otwarte konto z przydziałem na sprzęt do nowej placówki medycznej w instytucji, która nosiła nazwę Centrosprzęt, wraz z Nalaszkiem udaliśmy się do Wrocławia, gdzie w pierwszej kolejności zamówiliśmy nowe łóżka. Potem na nich spaliśmy, przy kominku - jedynym miejscu, gdzie jeszcze dało się wytrzymać we wszechobecnym zimnie. Żeby zacząć, potrzebowałem kogoś, kto naprawiłby wszystkie usterki i usprawnił systemy. W tej sprawie zwróciłem się do dyrektorów sanatoriów z Sokołowska i Kamiennej Góry. Od dyrektora Domina „wypożyczyłem” brygadę remontowo budowlaną, która awaryjnie uruchomiła centralne, wodę i kanalizację. Od dyrektora Kozłowskiego pożyczyłem na wieczne nieoddanie kilka ton węgla, koks i drzewa. Po remoncie, dokonanym przez hydraulików z Sokołowska, mogłem uruchomić centralne ogrze-

kolegę ze studiów, który swojego czasu na potępianiu biskupa Kaczmarka tak głośno zacytował Słowackiego. Nasz kontakt urwał się jeszcze podczas nauki na Akademii, ponieważ Józef powtarzał rok. Podszedłem do niego.

- Józiu, co słyhać? – zapytałem. Nie wyglądał najlepiej.

- A wiesz? Bieda jak cholera... - odpowiedział.

- Pracujesz gdzieś? - Zmartwił mnie.

- Owszem, zacząłem pracę w szpitalu w Szczawnie Zdroju. Żona nie ma pracy. Mamy dziecko... Wiesz jak jest.

- A nie chciałbyś przypadkiem... - nie byłem pewien czy mu to zaproponować. W końcu psychiatra to nie lekarz, a przynajmniej tak wszem i wobec mówiono. - Nie chciałbyś zostać psychiatrą?

- A co za to będę miał? - odpowiedział pytaniem. Bieda mocno musiała mu doskwierać.

- No wiesz... mieszkanie z wyposażeniem, przedszkole i pracę dla żony, i to z obiadami – odrzekłem, bo właśnie takie były realia.

- To niemożliwe...

- Ależ tak! Zapisz sobie numer telefonu do dyrektora szpitala w Bolesławcu. Michał Marzyński, specjalista wojewódzki dla Dolnego Śląska i Lubuskiego.

- Co mam zrobić? - niedowierzał Józef.

- Zadzwoń i powołaj się na mnie.

Dwa tygodnie później otrzymałem telefon od dyrektora Michała Marzyńskiego. Zapytał, czy możemy się zobaczyć. Domyślałem się, że chodzi o Józefa. Zgodziłem się. Przyjechałem do wydziału zdrowia.

- Mam pytanie o Kajzera - zaczął.

- Tak?

- Kto to jest?

- To mój serdeczny kolega, rzetelny, sumienny. Poza tym poeta. Ciekawy człowiek - odparłem.

- Można mu zaufać? - dopytywał Marzyński. W końcu gdy ktoś szedł na psychiatrę był raczej... podejrzany. Szło się przecież tam, gdzie były pieniądze – na ginekologię, chirurgię. A nie tam gdzie był kłopot.

- Można... - odpowiedziałem.

I rzeczywiście w ciągu dwóch tygodni, co w Polsce Ludowej znaczyło jak za dotknięciem magicznej różdżki, Józiu otrzymał wszystko co mu obiecałem i szybko stanął na nogi. On od razu wszedł w środowisko,

w którym świetnie sobie radził. Spotkaliśmy się nawet kiedyś w sądzie, gdzie orzekaliśmy w którejś ze spraw. Wszystko wyglądało świetnie. Znow straciliśmy kontakt, bo pochłonięty Czarnym Borem nie miałem czasu na utrzymywanie więzi towarzyskich. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że mój kolega nagle zmarł, będąc jeszcze młodym człowiekiem. Nie zdążyłem się z nim pożegnać.

Miałem kiedyś taki przypadek, że zadzwonił do mnie ktoś od niejakiego doktora Kristofa, psychiatry z Bolesławca. Przekazał mi, że doktor leży na oddziale dla gruźlików na Grabiszyńskiej i prosi, bym do niego przyjechał w pilnej sprawie. Lało jak z cebra. Ale uświadomiłem sobie, że mam karetkę w moim szpitalu. Wtedy już pracowałem we Wrocławiu. Zadzwoniłem zapytać, czy nie zabraliby mnie na miejsce. Zgodzili się. Dojechałem do szpitala i poszedłem do sali doktora Kristofa. Okazało się, że wiedząc, że będzie odchodził, doktor posłał po mnie, bo chciał ze mną jeszcze raz porozmawiać. Cieszę się, że wtedy zdążyłem. Taka dygresja.

Spotkanie z mamą

W 1961 roku, po raz pierwszy od wywózki z Przemyślan, spotkałem się z mamą. Moje ciotki nie ustawały w poszukiwaniach, a ich upór opłacił się w końcu, bo po wielu latach po wojnie w końcu się udało. Okazało się, że po wywózce, gdy moi rodzice zmuszeni byli pracować w tajdze, ich losy stały się jeszcze bardziej dramatyczne. W domu nie było jedzenia. Pozostawianie mojej młodszej siostry, samej na całe dni wiązało się z ryzykiem zabrania jej do domu dziecka. Gdy rodzice wychodzili do pracy, po domach chodzili żołnierze sprawdzając, czy nikt nie uciekł lub nie zaległ w domu. Werusia była nauczona uchylać drzwi i mówić:

- Mamy nie ma, taty nie ma.

Nikt nie spodziewał się, że kiedy nadejdzie wyzwolenie, mój ojczym dostanie powołanie do armii Andersa. Pewnego dnia wyszedł z domu i zniknął. Zrozpaczona mama, której nie było już stać na utrzymanie dwójki dzieci, zmuszona była oddać moje rodzeństwo do dwóch różnych domów dziecka, oddalonych od siebie wiele kilometrów. Starła się jak mogła by ich odwiedzać, jak najwięcej z nimi przebywać i kontrolować ich stan. Ale gdy ogłoszono amnestię i moja mama mogła wyjechać z Syberii, okazało się, że oba domy dziecka zostały ewakuowane i nie

wiadomo, gdzie są jej dzieci. Ludzie uciekli i parli na południe, gdzie mieli większe szanse na przeżycie. Na Morzu Kaspijskim udało się jej cudem zdążyć na ostatni okręt do Persji. Gdyby nie zdążyła, zostałyaby w jakimś kołchozie i być może szybko umarła. Gdy znalazła się w Persji od razu trafiła do szpitala, gdzie przez pół roku walczyła o życie. Była wycieńczona i zarażona chorobami przewodu pokarmowego, na przykład amebiozą i czerwinką. Przetrwiała jednak choroby i gdy tylko opuściła szpital rozpoczęła poszukiwanie dzieci. Łatwo namierzyła mojego brata. Cesiek był już w junakach. Odebrała go z wojska i zaczęła szukać Werusi. Uzyskała informację, że moja siostra może być w Indiach lub

Afryce. Jeśli na Czarnym Lądzie, to w dwóch oddalonych o tysiąc kilometrów miejscach - Rodezji lub Tanganice, będącymi koloniami angielskimi. Chcąc odnaleźć córkę, wraz z bratem mama udała się do Indii. Na próżno. Jej dziecka tam nie było. Wróciła znów do Persji, gdzie starała się uzyskać dalsze informacje.

Wszelkie interwencje u Anglików kończyły się odpowiedzią, że jest „gdzieś tam” i czuje się dobrze. Ale próba połączenia rodziny nastąpi dopiero po wojnie. Dlatego też w końcu mama i Cesiek trafili do Afryki, choć nie wiedzieli gdzie powinni szukać Werusi. Niestety, okazało się, że wysiedli w niewłaściwym porcie. Mam pracowała w charakterze gosposi u pewnego księdza. Zapewne z tego powodu w końcu w sprawę włączył się biskup Gawlina, z Polski, służący na obczyźnie. Dzięki jego interwencji Werusię dowieziono na drugi brzeg jeziora Victoria. Mama i Cesiek dwa dni maszerowali ze swojego obozu, by wyjść siostrze na spotkanie.

Gdy skończyła się wojna, ojczym odnalazł się jako żołnierz Kor-



Mój brat, Czesław, w obozie polskich dzieci w Afryce. 1942 r.



Moja siostra, Weronika, w obozie polskich dzieci w Indiach, 1942 r.

rotą, choć do tej pory mam zaświadczenie sądowe, wskazujące ciotkę Lole jako moją prawną opiekunkę. Okazało się, że mój ojczym zatrudnił się w stalowni, a dodatkowo poza godzinami pracy wykonywał tę, na której znał się najlepiej - jako hydraulik, specjalista od ogrzewania. Był człowiekiem niezwykle pracowitym i sumiennym, więc dobrze mu się powodziło. Rodzice myśleli jednak o osiedleniu się w Polsce. Ale ponieważ wiedzieli, czym jest reżim Związku Radzieckiego, postanowili zostać na Wyspach Brytyjskich i nie wracać do kraju. Niestety ani Tosia, ani ja nie dostaliśmy paszportów. Dlatego nie mogliśmy opuścić kraju i zamieszkać w Anglii. Nawet gdy starałem się o paszport, by móc odwiedzić mamę, nie otrzymywałem zgody. W wyjaśnieniu władze zawierały informację: „z innych przyczyn państwowych”.

pusu Andersa. Mama wraz z moim rodzeństwem mogła wrócić do Polski, zamieszkać w Anglii lub w innych miejscach świata. Ostatecznie zdecydowała o wyjeździe do Anglii (jak najbliższej Polski), gdzie właśnie przebywał ojczym.

Cesio odmówił wyjazdu z Afryki. Stwierdził, że on już w Europie był i nie ma związanych z nią dobrych wspomnień. Został na Czarnym Łądzie, jako osoba niepełnoletnia znalazł angielskiego sponsora. Mając prawną i finansową opiekę, mógł zamieszkać w obozie angielskim.

Gdy rodzinę udało się odnaleźć, ciotki zaprosiły mamę do Polski. Przestałem być sierotą.

Cdn.

Mieczysława Piotrowska

Niewydarzona miłość

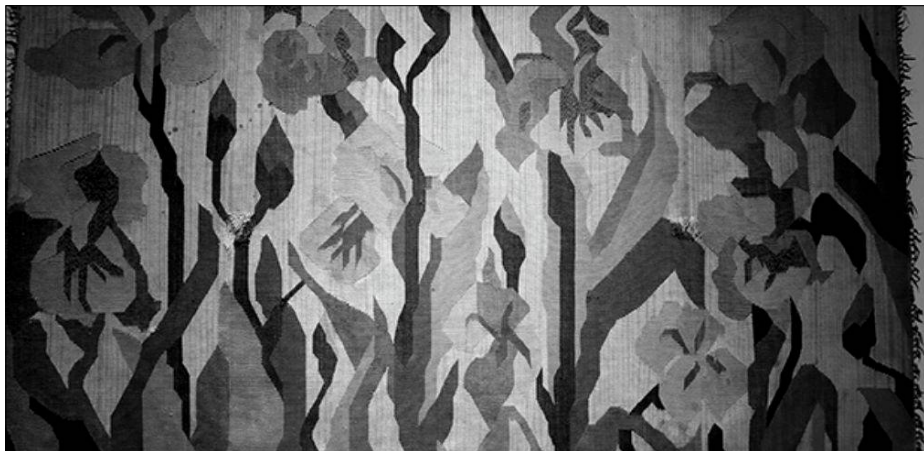
Niewydarzona i nie w porę
wianek z róż polnych wkładała zimnym wieczorem
gwiazdy ją promieniami kłuły jak jeże
zawracając do domu z beznadziei ścieżek
niepewnie podchodziła do rumianków i maków
szukając wróżby i przyjaznych znaków
bo nawet kąkol i ten ją precz gonił
w jej ból zaklęty w cudzej dłoni
nie dzwoniły o biedzie ciężkie łyzy sieroce
- i tak odeszła którejś nocy
a ból zaklęty w cudzej dłoni
wśród kamieni przydrożnych powoli się strwonił...

Wiersz pochodzi ze zbioru *Gdzie jesteś Ojczyzno...* (str. 21) wydany przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, a ofiarowany redakcji przez Autorkę.

Konstanty Czawaga

O kilimie gliniańskim

Kilim gliniański to unikatowa rzecz - stwierdziła w wywiadzie dla „Kuriera Galicyjskiego” Zenowia Szulga. - Powstał w 1880 roku. Do tego czasu mieszkańcy Glinian nigdy nie tkali. Odtąd stało się to sztuką znaną na cały świat. Gdy Filemon Reszytyło założył tę pracownię, nazywała się



Kilim gliniański z XXI wieku. Fot. Konstanty Czuwaga. *Kurier Galicyjski*

ona „Tkackie Towarzystwo w Glinianach” i do 1914 roku kilimy rozchodziły się stąd na cały świat. Były pokazywane na wielu wystawach i uzyskiwały najwyższe oceny. W 1910 roku powstała w Glinianach jeszcze jedna pracownia - Polskie Stowarzyszenie Kilim w Glinianach, którą kierował Mychajło Ratuszyński.

Po I wojnie światowej, kiedy kilimów już tu nie tkano, w 1921 roku z inicjatywy Mychajła Chamuły wznowiono w Glinianach wyrób kilimów. Pierwsze 50 sztuk nie zdołano jednak sprzedać. Szła nowa era. Powstał nowy styl *art deco*, było zapotrzebowanie na nowe idee, nowe rysunki. Wtedy Chamuła zwrócił się do takich wybitnych artystów ukraińskich jak Myron Lewicki, Pawło Kowzun, Wasyl Dziadyniuk, udał się również do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i Warszawie. Stąd w Glinianach tkano potem kilimy według projektów Zofii Stryjeńskiej, Józefa Czajkowskiego oraz innych wybitnych artystów polskich i do 1939 roku zdobywały one oceny najwyższe.

Kiedy przyszli Sowieci, wszystko się zmieniło. Artystów już nie zapraszano do projektowania. W sowieckiej Ukrainie i na rynku ukraińskim sprzedawano wysokiej jakości kilimy, dywany i inne wyroby tekstylne. Gliniański kilim nie mógł już sprostać konkurencji. W 1996 roku przyszedł do mnie dyrektor fabryki, Wasyl Karaś: „Poratuj Gliniany!”. Kiedyś po studiach we Lwowskiej Akademii Sztuk Pięknych pracowałam

w tej fabryce. Zaprosiłam swoje koleżanki. Zaczęłyśmy tkać, używając roślinnych barwników. Kilim w fabryce można było wtedy nabyć za 120–180 hrywien. Kiedy otwarto wystawę w Narodowym Muzeum im. Szeptyckiego we Lwowie, kilimy nasze sprzedawano już po 2–3 tysięcy hrywien. I to było fatalną rzeczą, która nie pozwoliła odrodzić gliniańskiego kilimu. Wówczas pojechaliśmy w Karpaty, do wioski Jaworów koło Kosowa, gdzie prawie w każdym domu są warsztaty tkackie. Zaprojektowaliśmy dla nich współczesne wzory kilimów i liźników.

Ale pochodzę z Glinian. Przed pięciu laty, kiedy powstało tutaj Muzeum Tkactwa i Kili-mów Gliniańskich, zaproszono mnie z ekspozycją. Przekazałam swoje zbiory. A potem Przemysław Cepak z Polski, który sprzedaje tam kilimy, zaproponował, abym utkała kilka wzorów. Finansowo pomogła moja córka Maria Flejczuk, która jest profesorem Wyższej Szkoły Przedsiębiorczości i Administracji w Lublinie oraz Lwowskiego Narodowego Uniwersytetu Medycyny Weterynaryjnej.

- Marzeniem mojej matki Zenowii Szulgi było odrodzenie kilimu gliniańskiego - powiedziała Maria Flejczuk, dyrektor firmy Zena-Gliniany-Art-Studio. - Podstawą nie miały być tylko stare kilimy. Oczywiście, uwzględniamy je, ale matka zawsze chciała zapoczątkować nowoczesne kilimy, żeby były używane. Tak się złożyło, że zaczęliśmy współpracować z firmą Splot, której kierownikiem jest Przemysław



Jeden z nowszych wzorów kilimów gliniańskich.
Źródło: *Kurier Galicyjski*.

Cepak. Zaproponował współpracę, by produkować nowoczesne kilimy, ale także według starych wzorów. I to ruszyło. Teraz propagujemy kilimy nie tylko jako sztukę użytkową, ale również jako sztukę elitarną. Chcemy, żeby to było bardzo modne, nowoczesne.

Obecnie produkcja rozwinęła się i w Polsce, i na Ukrainie. Stosujemy projekty nowoczesnych artystów. Bardzo słynnych ukraińskich, polskich. Bierzymy też pod uwagę stare projekty artystów żydowskich, ukraińskich i polskich. Takie wybitne nazwiska jak Stryjeńska, Cioń i inne. Mamy nadzieję, że przyszłość okaże się pomyślna. Ta współpraca kulturalna daje możliwość bliskich kontaktów pomiędzy ludźmi, między państwami. Nie ma w tym żadnej polityki, tylko kultura.

Ale z drugiej strony jest to wielka polityka, dlatego że rozwijamy wspólne dzieło i staramy się aby zamięłowanie do sztuki tkackiej owocowało współpracą pomiędzy naszymi stronami.

(*Kurier Galicyjski*, 15.03.2023)

Red. Tekst przepisano z rękopisu Samuela Golfarda znajdującego się w US Holocaust Memorial Museum. Zeszyt z rękopisem został ofiarowany do Museum przez Jacoba i Ritę Litmanów. Redakcja dziękuje p. Robinowi Harpowi z USHMM za wyjaśnienie, że Museum nie widzi przeszkód w wykorzystaniu rękopisu w biuletynie. Przepisując zapisy Golfarda zachowano oryginalną pisownię. W kilku miejscach nieodczytane wyrazy zastąpiono nawiasem z wielokropkiem. Część druga ukazała się w zeszycie nr 161.

Kronika Samuela Golfarda (cz. III)

30 marca. Muszę się spieszyć z napisaniem ostatnich kilku słów. Dookoła nas krew. Codziennie dowiaduję się o nowych ofiarach. W Kimirzu, wsi zamieszkałej przez volksdeutschów, zamordowano 22 Żydów, którzy męczyli się przeszło 4 miesiące w schronach leśnych wraz z małymi dziećmi. Urządzono na nich oblławę z udziałem milicji ukraińskiej i żandarmerji z jednym Volksdeutschem Szejbą na czele. Spędzonych w jedno miejsce przed wykopanym dołem, kazano każdemu rozebrać się do naga, poprowadzono każdego z kolei na skraj dołu i dokonano egzekucji. Matka

widziała śmierć kolejną swych 4 małych dzieci, mąż żony i dzieci. Niektórym pozwolono być w kalesonach, o ile były bardzo już zniszczone. Po dokonaniu zbiorowego mordu jeden z żandarmów, Seemann, wezwał chłopów i wyjaśnił im, że to się dzieje za (...) krzywdy chłopów za czasów bolszewickich. Naoczni świadkowie opowiadali, co zaszło, ze łzami w oczach.

W Ciemierzyńcach wyłapali 11 schowanych Żydów i rozstrzelano. Do Przemyślan codziennie sprowadza się nowe ofiary na rozstrzelanie. Idą na śmierć z dziwną jakąś powagą i zdumiewającym spokojem. Schwytanych przetrzymuje się dzień, dwa w areszcie miejscowym, bez jedzenia w całkowitej świadomości nieuchronnego rozstrzelania.

W sobotę szedłem za dwoma ofiarami aż do lasu brzeziny, punktu stracenia. Nie mogłem z oczu dwóch młodych ludzi, męża i żony wyczytać rozpacz. Stracili w Kimirzu kilka dni przedtem dzieci. Egzekucję przeprowadzają żandarmi, nienależący do partii, ludzie napewno spokojni jako cywile, niemniej mordercy z rozkazu Hitlera.

Wczoraj w wyniku bardzo wpływowej interwencji wypuszczono kobietę i 3 małych dzieci kilka minut przed mającym nastąpić rozstrzelaniem. Opowiadała o tym bez radości, z tępą obojętnością.

Ogłoszono pobór mężczyzn, który odbędzie się w piątek. Mają wysortować wszystkich młodych mężczyzn i zabrać do lagrów wyniszczających. Pobór obejmuje roczniki od 14. do 60.

Nie minęły jeszcze hiobowe wieści o masowej masakrze 4000 Żydów we Lwowie jako odwet za zabicie gestapowca, gdy już na nowo zaczynają się krwawe „akcje”. W Krakowie wymordowano całą pozostałą ludność, z wyjątkiem koszarowanych robotników w Płaszowie, w Żółkwi po zabraniu 600 mężczyzn do lagrów, wymordowano prawdopodobnie kobiety i dzieci.

Przyglądam się drgawkom męczeńskiego życia Żydów, których los wkrótce sam podzielę. Psychiatra mógłby tomy codziennie napisać. Każda myśl zatruta jest śmiercią. Gdy podnoszę do ust łyżkę stawy widzę znajomych pomordowanych, zasypiam z świadomością, że wkrótce zginę, wstaję z obawą, czy przeżyję ten dzień, czuję, że oddycham powietrzem, które przyniesie mi śmierć. Wpatruję się w słońce, które świeci nie dla mnie i wkrótce zastąpi je noc nieprzenikniona. O czym z kimkolwiek mówić, czy z Żydem czy z katolikiem, wszędzie rozmowa schodzi na zasadniczy temat życia i śmierci. Cały dzień przesycony jest oparami krwi, snu-

jącami się niewidzialnie dookoła nas. Wszak nie zapominam ani na chwilę o tym, co mnie czeka. W każdym kieliszku wódki, którą piję, czuję gorzki posmak życia. Cyfry, które wypisuję w księdze towarowej firmy, przesiąknięte są moją myślą o życiu i śmierci narodu. Każdy wysiłek jest podwójny. Rąbię drzewo, a myśl zaprzątnięta jest już nie hamletowskim, lecz nawskroś życiowym zagadnieniem „być albo nie być”.

2 kwietnia. Nie ma szczęśliwej powszechnie daty, by nam nie przyniosła nowego nieszczęścia. Minał wczoraj „prima aprilis” również pod znakiem straszliwych wieści.

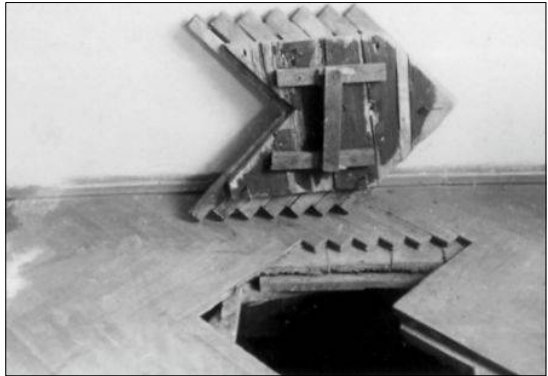
Wywieziono wczoraj w Lwowie 200 dziewcząt z fabryki wojskowej Szuwartwa. Dziewczęta nosiły odznaki „W”, rzekomo zabezpieczające przed morderstwem. Podaje się ogólną liczbę na 1500 ofiar.

W Żółkwi zabrano w czasie zarządzonego w tych dniach „Überprüfung” Żydów - 600 Żydów. Po kilku dniach urządzono akcję, spędzonych ludzi wymordowano w getcie.

Wydaje się, że nadchodzi już ostateczna chwila. Obłęd znowu przybrał formy kru... W tej chwili podają, że rozpoczął się masowy mord w getcie złoczowskim. Lada chwila mogą oprawcy wpaść tutaj.

Nie rozpaczam. Mimo że od pewnego czasu rozkwitło w mojej duszy nowe uczucie, brzydnie mi życie. Nie żałuję już siostr, Rodziców. Nie płaczę za nimi, jak przestałem rozpaczać za straconym w tych dniach kolegą, który szczęśliwie zmarł w konwulsjach, nie odzyskawszy przytomności. Zmarł rzadką śmiercią cywilną - chory na tyfus - w wieku lat 30.

Do pisania tego notatnika skłoniła mnie tęsknota za Marią. Leży przedemną twoja jedyna fotografia, ostatni ślad Twojego istnienia, rzeczy



Wejście do żydowskiego schronu w piwnicy, które znajdowało się w pokoju. Na klapę kładziono dywan, na którym stawiano biurko.
Źródło: *Raport Katzmana*, str. 53. Wyd. IPN.
Warszawa 2001

Ci bowiem zrabowano. Nie wierzę w życie zagrobowe, ale jeżeli istnieje nieśmiertelność duszy, objawiającej się w człowieku, dusza Twoja musi być nad wyraz szczęśliwa. Objawia mi się codziennie w ruchach, czynach osoby, która mi Cię zastępuje i do której coraz silniej jestem przywiązany.

Chwytają mi się myśli samobójcze być może dlatego, że obawiam się przerwania wyśnionego marzenia. Potrafię sobie jednak sam z tym dać radę.

5 kwietnia. Jest już po rejestracji „Überprüfung” ludności żydowskiej od 14 do 60 roku życia. Przyjechał ze Złoczowa Ludwig z S.D. i Warzog, szef lagrów w okręgu złoczowskim. Mieli się stawić bezrobotni i pracujący. W wyniku rejestracji zabrano wielu do bliżej nieznanych lagrów.

W dniu rejestracji byłem na wsi. Nie wiem, czy mnie „asentorowano” zaocznie. Zdaje mi się, że zwolnili mnie na podstawie ważności mojej funkcji. Wszystkich nieobecnych, a bardzo dużo nie przyszło, skazano na lager zaocznie. Panuje wielki „run” na lagry. Dopłaca się już po 10 tys. zł za przyjęcie do tej mordowni - ludzie stracili rozum.

Nie minęła rejestracja a już po kraju rozlała się wielka fala „akcyj”. Rzezie odbywają się masowo w Złoczowie, Brzeżanach, Lwowie. Lada chwila będą tutaj. Czerwona luna zasłania nam słoneczną dziś biel nieba.

Ludzie nie śpią, nie jedzą. Na wpół obłąkani chodzą po ulicach z piętnem śmierci wrytym na twarzach. Mówi się tylko o życiu i śmierci, czy iść w las, do lagru, czy zażyć trucizny. Gdzie ją dostać? (...) z aptekarzami. Tworzą się załóżki band. Synowie opuszczają matki, ojcowie - dzieci. Kto mógłby się ratować - uwiązany jest z małym dzieckiem.

Judenrat rozwiązuje się. Ci bandyci spełnili swoje, uznali wreszcie, że czas się usunąć. Zamiast uzbroić młodych ludzi w broń i wysłać do lasów - wysyłali dotąd do lagrów na powolne konanie. „Ratowali” żydostwo kontrybucjami, lagrowcami, akcjami, udziałem milicji żyd. w rzeziach, póki im nic nie groziło. Za cenę własnego życia poświęcili naród. Teraz unosząc trzosa znikają w samą porę i zostawiają (...) Żydów - resztki ich własnym nieuniknionym losem. Rozmawiałem z różnymi młodymi ludźmi co do utworzenia grupy w lesie. Każdy z nich ma jeszcze jakieś widoki ukrycia się w norze u chłopca, czy gdzie indziej i nadal nie chce zbiorowo się ratować. Czekają ich losy wszystkich.

Co będzie ze mną? Nie myślę o tym wcale. Z głęboka rozpaczą wpatruję się w wymizerowane, ale młode twarze dziewcząt i chłopców,

czytam w twarzach starców dzieci i kobiet - to samo piętno śmierci ciąży nad wszystkimi.

Unikam spotkania się ze znajomymi, do fizycznego bólu doprowadza mnie myśl, że mają za kilka dni zginąć w ogólnej rzezi.

Nie myślę już o Rodzinie. Nie myślę o sobie. Nie można na nikogo liczyć, pozostawieni jesteśmy oko w oko z własnym przeznaczeniem.

Jest piękny dzień. Usiadłem na chwilę na stopniach domu. Dookoła - krzyki dzieci. Słysząc turkot przejeżdżających furmanek.. W powietrzu czuć wiosnę idącą z wilgotnych pól. Słońce mocno przygrzewa. Promienie słoneczka ślizgają się po mojej twarzy, pieszczą mnie i całują. Otwieram oczy. Prze demną rozpościera się dal pól, stykająca się gdzieś daleko z niebem. W naturze wchodzi wiosenne podniecenie szeleszczących jeszcze nagich gałęzi drzew, cichy szept podnoszących się pędów traw.

Rozbrzmiały dzwony kościelne, noszące zapowiedź Wielkiej Nocy. Czy oczy moje ogarną jeszcze wtedy piękno nieboskłonu, zieleni trawy, (...) komarów -

Niedziela 11 kwietnia. Minęło znowu kilka dni koszmarnych. Jakby na urągowisko - dnie są piękne pełne słońca. Trudno nim oczy i usta nasycić. Słońca wkrada się do wielkich (...) getta i obdarza miłością najniebezpieczniejszych na świecie. Ani gestapowcy, ani żandarmerja nie mogą temu absolutnie przeciwdziałać. Grasuje sobie w getcie słońce, pieści i bawi się małymi dziećmi, które już dawno nie zaznały ciepła i pieszczoty. Nie potrzeba przepustki ani pośrednictwa Judenratu, by doznawać rozkoszy spotkania się ze słońcem.

Nastroje coraz cięższe. Skazańcy oczekują z całą biernością egzekucji, która nastąpi lada dzień. Większość zrezygnowana. Garstka młodych ludzi zaczyna się buntować. Mówi się wiele o broni, o bandach. Podobno w lasach jest już dużo młodych Żydów. Dla pokrzepienia własnych struchlałych serc powtarza się w formie przesadnej wiadomości o tworzeniu się band żydowskich - może ci się uratują, by wziąć odwet.

Wąskimi uliczkami getta błądzą ludzie. Tworzą się grupki. Opowiada się o okrucieństwie w Złoczowie. Koliccka(?) uratowana ze schronu ciągnącego się wzdłuż kanałów miejskich w Złoczowie opowiada, jak odbyła się i trwa rzeź.

8 dni przebyła wraz z wieloma w kanale. Żandarmi odkryli kanały

i rzucali do nich bomby z gazem łzawiącym. Ludzie sądzili, że to gazy trujące i masowo popełniali samobójstwa, by położyć kres męczarniom. Gazy te miały właściwości duszące i na ciasnej przestrzeni działały bardzo silnie.

W dniu akcji wywieziono do lasu przeszło 2000 ludzi i po masakerze kazano wszystkim rozebrać się do naga. Pod groźbą tortur zmuszano do ułożenia się głową do ziemi szeregami wzdłuż i wszerz w dołach. Do ułożonych w ten sposób ludzi strzelano. Rosły stosy trupów. Bije się jeszcze do dziś po 10 dniach znajdujących w schronach. Wielu wychodzi dobrowolnie, nie mając środków do odebrania sobie życia. Na to czekają kaci niemieccy. Ludzie ustawiają się w kolejkach i każdy kolejno dostaje kule w usta. Trupa obdziera się z ubrania, które idzie do warsztatów do przeróbki na użytek ludności niemieckiej.

W schronach rozgrywają się straszliwe sceny. Uciekinierka ze Złoczowa opowiadała, że wyjeżdżając widziała dwa płonące domy, podpalone przez schowanych w schronach ludzi, którzy woleli śmierć w płomieniach, niż oddać się w ręce morderców niemieckich.

W Zborowie wymordowano w czasie akcji w folwarku 700 ludzi. Ludzie pocieszają się tą wiadomością, że jeszcze ktoś w tym mieście został.



Wejście do schronu
w piwnicy
znajdujące się
w szerokim
parapecie okna.
Źródło: *Raport
Katzmanna*, str. 55.
Wyd. IPN.
Warszawa 2001

Wczoraj przeczytałem w biuletynie tajnej organizacji polskiej „o koszmarnych dniach masowego mordowania Żydów w Krakowie i Łodzi”, w tych dniach Sikorski w Londynie mówił o „zatrucaniu Żydów w

komorach przez uczonych niemieckich”.

Wspomina się o tym raczej na marginesowo, jako ilustracja do objawów niemieckiego barbarzyństwa. Tragedie żydowskie nie zaprzęta specjalnie uwagi polityków, ludność milcząco na to przyzwala. Rzadko, bardzo rzadko ujawniają się czynne sympatie ze strony ludności, która dalej w swej większości trwa w swej dawnej awersji do Żydów, mimo obrazów takiego męczeństwa, jakiego świat nie widział.

Jak kraj długi i szeroki rosną mogiły i groby zamordowanych męczeńską śmiercią. Każda wieś, miasteczko, każdy las roi się od grobów, widniejących z dala dla nauki i ostrzeżenia. Nie stanie żywych świadków, wtedy one wymową stokroć silniejszą zaskarżą cały świat o popełnienie lub nieprzeciwdziałanie najokrutniejszej zbrodni.

Środa 14 kwietnia. Ok. 20 km od Przemyślan leży miasteczko Bóbrka. Po różnych akcjach lagrowych i rzeziach zostało 1200 Żydów. Wczoraj zlikwidowane zostało to jedno z ostatnich osiedli żydowskich. Mało kto uratował się. O godz. 12 w nocy obstawiono miasteczko. Miejscowa żandarmerja wyłowiła nielicznych Żydów mieszkających poza gettem i ściągnięto ich na punkt zborny. Mimo że Żydzi w getcie od szeregu tygodni czuwają nieprzerwanie dniem i nocą, zaskoczeni zostali o godz. 4 nad ranem akcją z udziałem kilkuset szupowców i słynnej żydowskiej brygady milicji. O godz. 12 wożono zebranych na placu na miejsce stracenia do lasu na tzw. Wałowy. Tylko 40 najzdrowszych mężczyzn wybrano do lagru - mordowni na Janowskiej, gdzie muszą nieuchronnie zginąć. Przed straceniem ogołoco Żydów z wszelkich pieniędzy. Pewna grupa Żydów, schowana w jednym schronie, miała przy sobie 58 tys. dolarów - podał mi to jeden z uciekinierów z Bóbrki. Niemcy obłowili się olbrzymim łupem. Żydzi mają obecnie cały majątek skapitalizowany w walorach, które noszą przy sobie w nadziei uratowania się. Tym się tłumaczy, że mordują ludzi nagich a ubrania zabierają.

Doszły mnie dziś od naocznego świadka szczegóły egzekucji 6 Żydów, 3 mężczyzn i 3 kobiety, złapanych we wsi Podusów, a rozstrzelanych w lasku przemysłańskim. Egzekucję przeprowadzali miejscowi żandarmi z udziałem lejtnanta, (...) krwią żydowską żandarma Seemana i milicjantów ukraińskich. Mordowano nagich. Za karę, że jeden z chwytanych uciekł tuż przed egzekucją, zagrzebano ludzi półżywcem. Wzięty do pochowania zabitych Żyd Gruder z Hanaczowa zeznał, że z dołu wydo-

bywały się straszne krzyki pomordowanych, żywcem zaduszonych. Ziemia podnosiła się i opadała, znacząc straszliwe męczarnie zabitych.

Bestjalskie szczegóły mordów z innych punktów potwierdzają tę relację. Mordercy hitlerowscy pastwią się nad swymi ofiarami, zwłaszcza kobietami. Nie każdy doznaje przed śmiercią miłosierdzia być zastrzelonym odrazu. Pozwalają swoim ofiarom męczyć się i nie zawsze strzelają w skroń, lub czaszkę.

Dochodzą wiadomości o likwidacji wszystkich tzw. Nebenlagrów. Ma to pozostawać w związku z zaznaczającą się wśród Żydów dywersją, wobec czego S.S. obawia się tolerować t.zw. wolne lagry. W istocie jest obecnie już coraz więcej młodych ludzi, uzbrojonych. Są w lasach. Grupki narazie małe, pozbawione organizacji i środków. Rozkład Judenratu ułatwia się tworzenie się dywersji. Niestety jest za późno na ratunek ogólny. Ludzie są zmęczeni, pragną czym prędzej końca męczarni.

Udział żydowskiej bandy lwowskiej w akcjach jest najbardziej wyrafinowanym środkiem morderstw hitlerowskich. Niemcy sądzą, że to ich zrehabilituje w oczach świata. Banda lwowska Golligera to szczyt tragedii. Niemcy robią zdjęcia, gdy żydowscy bandyci rąbią schrony żydowskie. Ma to oznaczać, że Żydzi nawzajem się mordują.

Zawcześnie jest wygłosić obronę pomocników morderstw hitlerowskich. Niemcy doprowadzili naród żydowski do takiego stanu upodlenia, gdzie znika człowieczeństwo i toczy się co chwila walka o życie swoje, dzieci it.d. Wyzuli z wszelkiego nimbu akty bohaterstwa i poświęcenia. Za poświęcenie jednego Żyda (...) drugiego odpowiada zbiorowo społeczność żydowska. Za zabitego jednego gestapowca morduje się tysiące, dziesiątki tysięcy Żydów. Za opór władzy niemieckiej morduje się rodziny. Bohaterstwo w tych warunkach wydaje się brakiem rozsądku i potępiane jest przez wszystkich, nawet najlepszych ludzi. Pozostaje krycie się indywidualne w schronach, lasach, lub życie na powierzchni i mordowanie bliskich(?).

Judenrat swoje zrobił. Umożliwił mordercom hitlerowskim likwidację Żydów gospodarczo i fizycznie. Teraz są zbyteczni. Strzela się ich przeto pierwszych. Ten sam los dzieli milicja żydowska.

W akcjach bierze udział tu i ówdzie milicja ukraińska, a w wykrywaniu Żydów we wsiach obok donosicieli chłopów zajmuje główne miejsce.

Chciałbym pokrótce zebrać sens tych notatek, które się kończą tak,

jak młode życie. Przeszedłem prawie 2 lata piekła hitlerowskiego, dwa lata najgorsze. Straciłem w tym czasie wszystko, co miałem najdroższego. Cierpiałem głód najstraszliwszy. Znosiłem upokorzenie najokropniejsze. Widziałem mąki przedśmiertelne ludzi na szubienicy i w grobach zbiorowych, sam cierpiałem męki fizyczne i moralne, przed których opisem wzdragam się cały.

Nie spodiłem się ani razu współpracą z Niemcami. Pracując przy zbiorce odpadów i metali sabotowałem robotę do najwyższego stopnia, w najgorszych chwilach odrzucałem myśl włożenia czapki milicjanta, czy też innej formy współpracy z Niemcami.



W tym budynku było wejście do schronu, który znajdował się pod całą szerokością ulicy i mógł pomieścić kilkadziesiąt osób.
Źródło: Raport Katzmana, str.58.
Wyd. IPN.
Warszawa 2001.

Wszystko to, co przed nami się rozgrywa jest niewątpliwie wyrafinowaną formą obłędu, doprowadzonego do szalu. Nikomu nie wolno wysuwać kwestii winy Żydów. Skazani zostali na męczeństwo i na tym odcinku wytrwali do ostatniego na wzór pierwszych męczenników chrześcijaństwa. Nie było warunków przeciwstawiania się. Żaden z narodów nie może krytykować zachowania Żydów w tych straszliwych czasach. Nie ma do tego żadnego moralnego prawa. Nie można tłumaczyć się terrorem. Faktem jest, że chłopcy masowo wydawali schowanych Żydów w nadziei rabunku ich mienia. Faktem jest, że współdziałali z Niemcami w mordowaniu bezbronnych. Zarówno Polacy, a w większości Ukraińcy, nie pomagali bezbronnym, a raczej posyłali na śmierć wtedy, gdy pomoc niczem nie groziła. Narody zachowały się w obliczu najstraszliwszego nieszczęścia

w najlepszym razie neutralnie, nie wyciągając z tego żadnej nauki. Nieszczęśliwymi gardziły dzieci katolickie. Kościół nie wykorzystał tych nieszczęść dla wywołania miłosierdzia narodu dla „Izraela, brata starszego”.

Sąd o Niemcach niechaj wydadzą usiane w tysiącach groby pomordowanych. Przekleństwo narodowi niemieckiemu na wieki, niechaj ściga naród niemiecki klątwa pomordowanych matek, dzieci, starców do ostatniej zagłady.

Żał mi matek niemieckich, które wydały takich synów. Trudno mi żywić do nich nienawiść. Może są nieświadome zbrodni synów, może przeklną ich same.

Nie tylko system hitlerowski i wszelka inna forma faszyzmu musi zniknąć, ale na zawsze wyrwać należy z duszy narodów wszelkie okrucieństwo. Tragicznemu naszemu losowi winni są Anglicy i Amerykanie, którzy pobłażali wysokom narodu niemieckiego, uczyli Hitlera i wychowali obecny reżym w Niemczech.

Naród żydowski w swoim honorze mimo wszystko nie został dotknięty, zachowa do świata li tylko pogardę za tchórzostwo i brak serca.

W ostatnich chwilach mego życia doznałem prawdziwej serdeczności i przyjaźni od p. Jankiewiczów z Przemyślan, którym niechaj w życiu towarzyszy stale szczęście i przyjaźń ze strony najbardziej uciśnionych dla nich i dzieci.

(...) się mimo wszystko, że (...) i okrucieństwo w wyniku wychowania (...). Dlatego ludzkość jeszcze może mieć przed sobą przyszłość, jeżeli wytepi reżymy żerujących na instynktach (...). Instynkty takie bowiem można obudzić.

Wierzę w dobroć (...). Byłem bezpańskim psem, (...) i zmaltretowanym, gdy nagle doznałem dobroci i przyjaźni ze strony ludzi, którym w zamian (...) nic ofiarować nie mogłem. Może takich jest więcej. Może więcej jest takich, którzy gotowi byli nie zastraszeni(?) przyznać praw ludzkich wyzutym z wszystkiego człowieczeństwa. Mając w myśli przykład ich kultury i honoru skłonny jestem w to wierzyć.

Nie jest przypadkiem, że osoby, o których mowa, są Polakami. W narodzie polskim zawsze istniało (...) bogactwo dobroci, które celowo tłamszono. Niech będzie ich zasługą, że odbudowali moją iskrę w naród polski. ■

Piosenki weselne ze Świrza

W niedzielę z rana



W nie- dzie- lę z ra-na, w nie-dzie-lę z ra-na, drob-ny deszcz pa-da



A mo - ja dziew-czy-na, a mo-ja je-dy-na do mnie nie ga - da.

W niedzielę z rana,
W niedzielę z rana,
Drobny deszcz pada,
A moja dziewczyna,
A moja jedyna,
Ze mną nie gada.
A moja dziewczyna,
A moja jedyna,
Do mnie nie gada.

Czego ty płaczesz,
Czego żałujesz
Dziewczyno moja.
Jak nie mam płakać,
Jak nie żałować,
Nie będę twoja.
Jak nie mam płakać,
Jak nie żałować,
Nie będę twoja.

Nie płacz dziewczyno,
Nie płacz dziewczyno,

Przed tobą będą,
Przed tobą będą,
Czapki zdejmować,
Mnie jako księdza
Mnie jako księdza,
W rękę całować.
Mnie jako księdza,
Mnie jako księdza,
W rękę całować.

A jak pomrzemy,
A jak pomrzemy,
Każemy sobie
Złote litery,
Srebrne numery
Wybić na grobie.
Złote litery,
Srebrne numery
Wybić na grobie.

Kto będzie jechać,
I kto będzie szedł.

Będziesz ty moja.
Rodzice mi radzą,
Ludzie mi cię dadzą,
Niech sam sędzi Bóg.
Rodzice mi radzą,
Ludzie mi cię dadzą
Niech sam sędzi Bóg.

Ty pójdziesz górą,
Ty pójdziesz górą,
A ja doliną.
Ty zakwitniesz różą,
Ty zakwitniesz różą.
A ja kaliną.
Ty zakwitniesz różą,
Ty zakwitniesz różą,
A ja kaliną.

Pomyśli sobie,
Co za zakochani,
Co za miłowani
Leżą w tym grobie.
Co za zakochani,
Co za miłowani
Leżą w tym grobie.

Tu kości księdza,
Tu kości księdza,
I pani mości,
Co zmarli razem,
Co zmarli razem
Z wielkiej miłości.
Co zmarli razem,
Co zmarli razem
Z wielkiej miłości.

W polu przy drodze

W polu przy drodze,
Stoi topola.
Powiedźże mi moja miła,
Czy będziesz moja. (2x)

Moja miła, raz,
Komu rączki dasz,
I ten wianek z drobnej mirty,
Co na głowie masz. (2x)

Nie dam nikomu,
Tyś mój najmilszy.
Tylko tobie przy ołtarzu,
W kościele, na mszy. (2x)

Tam nam będą grać,
I ładnie śpiewać.
A my dwoje zakochani,
Będziemy ślub brać. (2x)

Bierzcie chusteczki
Dróżki kochane,
Obcierajcie panny młodej
Oczka splekane. (2x)

My obcieramy,
A ona płacze.
To przez ciebie mój najmiłszy
Swój wianek stracę. (2x)

Stracę go, stracę,
Nie będę go miała.
To przez ciebie mój najdroższy,
Żem cię kochała. (2x)

Pierwsza z powyższych - „W niedzielę z rana” - to staropolska pieśń szlachecka o tytule „Wezmę ja kontusz”, choć ma jeszcze wiele innych tytułów, powstała prawdopodobnie w XVIII w. na terenie Galicji. Autor słów i melodii nieznan. Została spopularyzowana głównie przez książkę i film „Nad Niemnem”. Tekst tej pieśni różni się w kilku przypadkach z innymi wersjami i zapewne ta wersja może być dość uboga.

Druga jest piosenką w takcie walczyka. Obecnie jest wykonywana na weselach przez wiele zespołów muzycznych i można ją posłuchać w internecie.

W Świrzu prawdopodobnie obie piosenki rozpowszechniły nauczycielki na początku XX wieku i często były śpiewane podczas wesel. W 1993 roku zostały zaśpiewane przez moją Mamę, Elżbietę Wyspiańską, pochodzącą ze Świrza. Transkrypcja nutowa pierwszej piosenki - J.W. Melodii drugiej nie zanotowałem ani nie zapamiętałem.

(Zebrał J. W.)

Red. Dzięki uprzejmości p. Igora Meggera, redaktora naczelnego „Głosów Podolan”, który przeszedł strony czasopisma „WSCHÓD” i wypisał numery gazet z wydarzeniami dotyczącymi pow. Przemysłany, powstał nowy zbiór interesujących informacji. Bardzo dziękuję za pomoc. Mam nadzieję, że opisy spotkają się z przychylnym przyjęciem.

Notatki z powiatu w gazecie „WSCHÓD” (cz. I)

Aktywność powiatu przemysłańskiego nawet w okresie ciężkiego kryzysu. Przewodniczący Wydziału powiatowego, starosta powiatowy mgr. Grodowski [*Mieczysław - J.W.*] przedstawił władzom nadzorczym trzyletni plan działalności, który między innymi obejmuje budowę 4 nowych szkół i wykończenie dwóch szkół, będących w budowie, co okazuje się możliwe nawet w okresie ciężkiego kryzysu. Na uwagę zasługuje projekt urządzenia pod jesień w roku bieżącym pokazu przemysłu domowo-ludowego w Przemyslanach i urządzenie wycieczek ze Lwowa celem szerszego zainteresowania.

Następnie odbyło się posiedzenie powiatowej Komisji opieki społecznej, na którym nakreślono plan działania na przyszłość przy współudziale Towarzystw opiekuńczych w powiecie. Odbyło się również posiedzenie Komisji zdrowia w związku z istniejącymi od szeregu lat dwoma ośrodkami zdrowia, powiatowego Związku Samorządowego w Przemyslanach i Glinianach i zaopiniowano preliminarz budżetowy na rok 1936/1937.

Ważnym wydarzeniem w Przemyslanach było zebranie przedstawicieli wszystkich organizacji i stowarzyszeń społecznych polskich, na którym powołano do życia Powiatowy Komitet Porozumiewawczy. Komitet ten rozwinie swą działalność na terenie powiatu. Przewidziane jest również tworzenie komitetów lokalnych w różnych miejscowościach powiatu.

Dnia 29 lutego br. odbyło się pod przewodnictwem starosty p. Gradowskiego posiedzenie Wydziału powiatowego, na którym uchwalono projekt preliminarza budżetowego na rok 1936/1937 na sumę 320.083 zł. 19 gr. po stronie dochodów jak i wydatków.

Dnia 1 bm. odbyło się zakończenie sześciotygodniowego kursu gospodarstwa domowego w Kołach Gospodyń Wiejskich w Lipowcach i Połtwi. Kurs ten został urządzony staraniem Okręgowego Towarzystwa Rol-

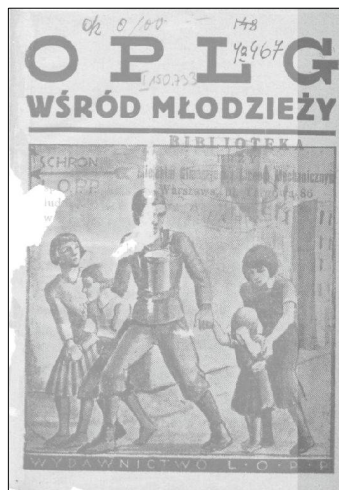
niczego [O.T.R. - J.W.] w Przemyślanach, i trwały od 18 stycznia do 29 lutego br. Kurs ukończyło w Lipowcach 26 uczestniczek, zaś w Połtwi 16 uczestniczek. Na kursach wykładały instruktorki kursów Lwowskiej Izby Rolniczej.

Dnia 2 bm. odbyła się w Wydziale powiatowym w Przemyślanach sesja burmistrzów, wójtów i sekretarzy gminnych pod przewodnictwem p. starosty. Burmistrzowie i wójtowie składali sprawozdania z dotychczasowego wykonania budżetu za rok 1935/1936 oraz z całego szeregu prac i poczynań. Następnie złożono sprawozdanie zbilansowania budżetu gminnego na rok 1936/1937. Obszernie i wyczerpująco omówił przewodniczący sesji starosta mgr. Grodowski stosunek samorządu do obywateli na tle znanego okólnika P. Ministra Spraw Wewnętrznych Baczkiewicza.

Obecnie znowu odbywa się druga sesja roków administracyjnych w siedzibie gmin zbiorowych. Roki przeprowadza osobiście starosta powiatowy lub jego zastępca przy współdziałaniu kierownika Urzędu Skarbowego i inspektora szkolnego, w czasie których przyjmuje się strony z całego terenu gminy i załatwia się wszelkiego rodzaju sprawy na miejscu, umożliwiając zarazem jak najszerszym warstwom ludności bezpośrednie zetknięcie się z przedstawicielem Rządu i powiatu.

W Świrzu (pow. Przemyślany) założono spółdzielnię mleczarską i wybrano Radę nadzorczą.

Dnia 1 bm. odbyło się zebranie Oddziału powiatowego pracowników samorządowych, na którym postanowiono odbywać kursy dokształceniowe przynajmniej raz na kwartał. Na posiedzeniu był obecny starosta powiatowy mgr. Grodowski, który, zachęcając nie tylko do odbywania kursów dokształceniowych, ale też do odbycia kursu samorządowego na Wszechnicy Warszawskiej, przyrzekł swe poparcie. Niedawno przeprowadził okręgowy instruktor p. Kochanowski z ramienia Obwodu Powia-



Czasopismo propagujące wiadomości z zakresu obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej wśród młodzieży.

towego L.O.P.P. [*Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej - J.W.*] przeszkolenie ludności cywilnej i drużyn z dziedziny O.P.L.G. w Przemyslanach oraz w siedzibie Koła miejscowego w Dunajowie (siedziba wiejskiej gminy zbiorowej). [1]

Ludność w Dunajowie okazywała wielkie zainteresowanie, czego dowodem był masowy jej napływ. Obecnie w powiecie odbywa się w pięciu punktach powiatu akcja dożywiania dzieci przy częściowej pomocy Funduszu Pracy. Akcja ta, prowadzona od szeregu lat na terenie powiatu przemysłańskiego przy pomocy miejscowych warstw społeczeństwa, stanowi prawdziwą akcję humanitarną. (Nr 5 z 10.03.1936 r.)

+ + + + + + + +

Z Przemysłań. Pod przewodnictwem starosty powiatowego w Przemyslanach mgr. Grodowskiego odbyło się zebranie Rady Oddziału Związku Straży Pożarnych, na którym uchwalono preliminarz budżetowy oraz plan działalności na rok 1936/1937. Oddział liczy 43 strażę na terenie powiatu przemysłańskiego.

W Przemyslanach odbyło się posiedzenie powiatowego Komitetu Porozumiewawczego, na którym wybrano Wydział wykonawczy w składzie: przewodniczący: p. Leopold Żaki, członkami Zarządu pp.: Szatkowski, Biesiadecki i Czerkawski. Na posiedzeniu nakreślono plan pracy na najbliższą przyszłość oraz postanowiono urządzać tygodniowe zebrania organizacyjne. (Nr 6 z 20.03.1936 r.)

+ + + + + + + +

Z Przemysłań. W Przemyslanach odbył się zjazd Koła Gospodyń Wiejskich z terenu powiatu w obecności 220 członkiń Kół Gospodyń. Zjazd rozpoczął się nabożeństwem odprawionym przez ks. Hołówkę Juliana z Majdanu Lipowieckiego - potem nastąpiły obrady w sali „Sokoła”,



Leopold Żaki.

[1] LOPP - Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej – masowa polska organizacja paramilitarna powołana w 1928 z połączenia założonej w 1923 Ligi Obrony Powietrznej Państwa i założonego w 1922 Towarzystwa Obrony Przeciwgazowej. Miała na celu promowanie lotnictwa sportowego, komunikacyjnego i wojskowego.

w obecności starosty mgr. Grodowskiego, delegatki Lwowskiej Izby Rolniczej Wierzbickiej oraz przedstawicieli Inspektora szkolnego, T.S.L., Związku Pracy Ob. Kobiet, Związku Strzeleckiego, Czerwonego Krzyża. Wybrano zarząd powiatowy Koła G.W. w składzie: przewodnicząca Teresa Skrzyszowska z Pohorylec, zastępczyni przewodniczącej Magdalena Wrzeszcz ze Świrza, sekretarka Weronika Naprawska, zastępczyni sekret. Genowefa Szezepanikówna, skarbniczka Bytnarówna Irena z Krośienka. (Nr 7 z 30.03.1936 r.)

Cdn.

Krystyna Salkitzloglou

O chłopach, panach i o państwie świrskim (cz. II)

W uwagach odnoszących się do mapy topograficznej Chlebowic napisano: *Strumień Świrz, dzielący wieś ma głębokość od 2 do 3 stóp, nie ma prawie brzegów, jego dno jest piaszczyste. Wylewa jak Gnila Lipa i pozostawia łąki w stanie grząskim. Woda jest zdatna do picia dla ludzi i bydła. Wieś otaczają pokaźne i nieprzebyte lasy, oprócz tych w stronę Tuczej. Potężne góry, których skrajne stoki są na ogół strome. Trakt krajowy do Strzelisk przez Lubeszki jest bardzo zły, przejezdny dla tutejszych wozów tylko w czas suchy. Młyny położone nad strumieniem Świrz zaznaczono na mapie tam, gdzie należy.* [5]

Rzeczpospolita nie posiadała żadnego funduszu na infrastrukturę drogową. Jej budżet przeznaczany był w ogromnej większości na utrzymanie armii. Niewielka część na organizowanie zagranicznych poselstw i utrzymanie królewskiego dworu. Drogi, podobnie jak mosty, tamy, budowali chłopci, w obrębie każdego „państwa” w ramach pańszczyzny zwanej szarwarkiem. Zadaję sobie pytanie: w jaki sposób wysyłano zboże na sprzedaż, skoro drogi były przejezdne tylko w czasie suchym, a rzeka, chociaż łączyła się z Dniestrem (a ten wpadał do Morza Czarnego), nie wyglądała na splawną? Dzierżawca folwarku musiał się śpieszyć z zebraniem i wymłóceniem zboża, żeby je sprzedać zanim nastąpi jesienna słońta i drogi staną się nieprzejezdne. Im bardziej zależało mu na czasie, tym bardziej „mobilizował” chłopów pańszczyźnianych. Zapewne, *Jaśnie Wielmożny Pan Żurakowski* miał do tego celu jakiegoś ekonomę, czy karbowego. To on ustalał, kto wyjdzie na pańszczyznę i jaką robotę wykona.

Chociaż „obce państwo” ograniczyło pańszczyznę do trzech dni w tygodniu i nadało chłopom ziemię, to nie dało się tego pogodzić z zasadą, że ten, kto otrzymał więcej ziemi, musiał więcej pracować na pańskim. Jeden dzień pańszczyzny sprzężajnej, czyli przy użyciu wołów, liczono jak dwa dni pańszczyzny pieszej. Chałupy poddanych, narzędzia, zwierzęta pociągowe, przy pomocy których wykonywano prace, należały do dworu i stanowiły tzw. „załogę” oddaną na użytek chłopu, którą pan mógł odebrać i oddać komuś innemu. Pańszczyzna wg dworu była opłatą eksploatacyjną za „załogę” i za gotowość dworu do udzielania pomocy w przypadku klęski żywiołowej lub pożaru.

Panowie „jak po grudzie” wdrażali reformy „obcego państwa”, które mogłyby uszczuplić ich dochody. Groźba utraty załogi, obok fizycznej przemocy, skutecznie mobilizowała chłopów do pracy w folwarku zamiast na własnym polu. Widział to na własne oczy cesarz, Józef II, który swoimi reformami chciał ulżyć chłopom. W notatkach z podróży po Galicji napisał: *Chłopi są tak zajęci pańszczyzną, że na ich polu zboże stoi nie ścięte jeszcze w drugiej połowie sierpnia.* [6]

Dla panów była to forma wymiany a nie wyzysku. Na takiej „wymianie” właśnie polegały te „rodzinne”, „patriarchalne” relacje, o których pisał Aleksander Cetner. Cóż chłop, który nic nie miał na własność, mógł dać panu na wymianę za użytkowanie załogi? Niewolniczą pracę. Żeby wywiązać się z pańszczyzny i obrobić swoje pole, chłop musiał przyjąć chałupników. To była najbiedniejsza kategoria chłopów. Nie mieli pola, ani nawet zagrody. Żyli „kątem” u obcych i za miskę stawy pracowali dla nich.

Mój przodek, Tomko Jedynak, chłop pańszczyźniany z Chlebowic Świrskich, urodzony ok. 1760 roku, „miał” 4 woły. Używam „miał” bo nie była to jego własność, ale obowiązek. Miał o nie dbać, czyli karmić, poić, trzymać pod strzechą i wykonywać nimi pańszczyznę. Za to mógł ich używać również do pracy na swoim polu. Próbuję sobie wyobrazić jego chatę. Kamil Janicki w książce „Pańszczyzna” pisze, że tam, gdzie dwór pomagał chłopom budować chaty, robiono to często po najmniejszych kosztach i często ignorowano klasyczny podział na trzy części: sień (w której zazwyczaj trzymano inwentarz), izbę (gdzie jadano i spano) oraz komorę (przechowywano w niej zbiory i żywność). Francuski podróżnik Gaspard de Tende tak opisał polskie chaty: *Ponieważ izby te nie mają okapów komina, przeto pełne są skłębionego dymu, którego jedynym ujś-*

ciem jest wybite na wysokości czterech stóp nad ziemią okienko. Dla każdego, kto wejdzie do takiej izby, pozostaje tam zgięty we dwoje, by nie udlawić się dymem, tak gęstym powyżej okna, że nie widać ściany”. [7]

Podobnie wewnątrz kurnej chaty odmalował Stanisław Staszic: *Słońce tam nie ma przystępu. Wnętrze jest zapchane smrodem i tym dobrotliwym dymem, dzięki któremu chłopci nie muszą na swoją nędzę patrzeć. Dym pozbawia ich światła, aby mniej cierpieli, ale też w dzień i w nocy dusi ich, skracając mizerne życie – a najczęściej w niemowlęcym wieku zabija. W tej smrodu i dymu ciemnicy dzienną pracą strudzony gospodarz na zgnitym spoczywa barłogu. Obok niego śpi mała a naga dziatwa na tym samym legowisku, na którym krowa z cielakiem stoi i świnia z prosiętami leży. [8]*

Trudno dziś przyjąć ten opis do wiadomości. Niestety, księgi parafialne ze Świrza też wiele mówią. Nawet jeżeli Gaspard de Tende i Staszic, nigdy nie postawili nogi w „Państwie Świrskim”, chata, jaką opisali, mogła być Tomkową. Pierwsza żona Tomka w wieku 19 lat umarła „na kaszel”. Było to w czerwcu 1784. Zapewne przyczyną tego śmiertelnego kaszlu był „duszący dym” a nie przewlekłe przeziębienie. Zaledwie roczne dziecko z tego małżeństwa umarło „na konwulsje”. Czym mogły być spowodowane? Było chore na padaczkę, czy dostało jakiegoś zakażenia i wysokiej gorączki? A może udusiło się w morderczych oparach czadu? Wszystko jest możliwe. To przerażające z dzisiejszej perspektywy, ale wówczas śmierć żony, czy dziecka, nie stanowiła dla chłopca wielkiej tragedii. Narodziny i śmierć traktowano jak naturalne cykle przyrody. Tomko żenił się 4 razy, czyli 3 razy owdowiał. Straciłam rachubę, ile miał z tych małżeństw dzieci, którym udało się dorosnąć. Nie wykluczam też, że stosował przemoc.

Chłopska rodzina była patriarchalna. *Potwierdzeniem silnej władzy męża i ojca nad rodziną była stosowana przez niego przemoc. W zadawaniu bólu i cierpienia nic go nie ograniczało. Wobec żony, dzieci i służby postępował tak samo, jak pan wobec niego (...). Mąż bił żonę nieraz tylko po to, żeby nie zapomniała, że jest „stworzeniem upośledzonym” i kto jest głową rodziny (...) „koń potrzebuje ostrogi, żona kija”, „Kiedy kobieta choruje na nerwy, najlepszym lekarstwem jest lanie”, „Gdy chłop baby nie bije, to w niej wątroba gnije” – przysłowia te powtarzano jeszcze w XX wieku. [9]* Małżeństwo stanowiło podstawę gospodarstwa, a posiadanie dzieci było obowiązkiem również wobec pana feudalnego. Niewywiązanie się z tego obowiązku skutkowałoby utratą pola, bo nie byłoby komu

na nim pracować. Z tych powodów zapewne pośpiech, z jakim Tomko wziął kolejny ślub - niecały tydzień od pogrzebu pierwszej żony - nie stanowił naruszenia obyczajów.

Chłop pańszczyźniany wyładowywał swoją złość na żonie, bo sam był ofiarą przemocy. Kazimierz Deczyński, autor pamiętnika chłopskiego z pierwszej połowy XIX w. opisywał w jaki sposób zmuszano włościan do uległości: *Nadużyciom i gwałtom opierają się włościanie z największą zaciętością[...] Rozgniewany pan dzierżawca za nieposłuszeństwa tłucze, bije chłopów po głbie, targa za długie włosy, każe pokładać na ziemię i bić czterdzieści lub pięćdziesiąt batów mówiąc; „Szelmo, chłopie, bat to jest dla ciebie prawo, a twój przywilej i skargę każe ci na twojej dupie przypiąć i batem posiekać”. Gdy jednak pan dzierżawca biciem chłopów zmusić nie może sprowadza żandarmów, którzy razem z karbowym, ekonomem, włodarzem etc. chodzą po wsi od chałupy do chałupy zabierają włościanom ich odzież, pierzyny z łóżka, zboże i powiadają: „...egzekutne za nieposłuszeństwo dotąd odplacać będziesz, dopokąd pan tej egzekucji nie odwoła, i jeżeli zabranych fantów nie wykupisz w trzy dni, to Żydom sprzedane zostaną, a gdyby za te fanty pieniądze jeszcze nie wystarczyły, zabierzemy ci twoje konie lub woły”. [10] Deczyński mieszkał w Królestwie Polskim, ale takich dzierżawców i chłopów, jak wyżej, nie brakowało i w Galicji.*

[5] Galicja na Józefińskiej mapie topograficznej, tom 10 s. 168.

[6] *Polityka* 26.2011 (2813) z dn. 20.06.2011, Historia s. 54.

[7] Kamil Janicki, *Pańszczyzna* s.196.

[8] Op. cit. s. 199.

[9] Andrzej Chwalba, Wojciech Harpula, *Cham i Pan*. A nam, prostym, zewsząd nędza? s. 86.

[10] Kacper Pobłocki, *Chamstwo* s.78.

Cdn.

**Księgi metrykalne
z parafii pow. przemysłańskiego znajdujące się
w archiwum lwowskim (cz. I)**

Zbiory dokumentów są uporządkowane według kryteriów:

2. Nazwa miejscowości. 3. Parafia.
4. Wykaz miejscowości, które wchodziły w skład parafii (w porządku alfabetycznym; jeżeli przynależność administracyjno-terytorialna miejscowości jest inna niż przynależność administracyjno-terytorialna parafii, to jest to zaznaczone w nawiasie)
5. Akta urodzenia: lata (fond/inwentarz/plik)
6. Akta małżeństw: lata (fond/inwentarz/plik)
7. Akta śmierci: lata (fond/inwentarz/plik)
8. Badania przedślubne (protokoły, dzienniki): lata (fond/inwentarz/plik).
9. Listy parafian: lata (fond/inwentarz/plik).
10. Indeksy nazwisk: urodzenia (N.), małżeństwa (O.), zgonu (S.): lata (fond/inwentarz/plik).
11. Dodatkowe informacje.

2. Biała. 3. Parafia Dunajów

5. 1862-1901 (201/4a/6244); 1902-1922 (618/2/2669)

7. 1821-1922 (618/2/2668)

2. Dunajów. 3. Parafia Dunajów.

4. Białe****, Wicyń, Kropiwna**, Nowosiółka****, Podusów*, Poluchów Mały*, Potoczany (pow. Brzeżany)****, Rekszyn (pow. Brzeżany) ****, Ciemierzynce.

5. 1818-1821 (618/2/94); 1822, 1824-1825 (618/2/95); 1826-1828 (618/2/96); 1829-1830 (618/2/97); 1832-1833 (618/2/98); 1834-1835 (618/2/99); 1837-1838 (618/2/100); 1839-1840 (618/2/101); 1841-1842 (618/2/102); 1843-1844 (618/2/103); 1845-1846 (618/2/104); 1847-1848 (618/2/105); 1849-1850 (618/2/106); 1851-1854 (618/2/107); 1852-1913 (618/2/2683)***; 1856, 1862-1863 (618/2/108)

6. 1818-1821 (618/2/94); 1821-1906 (201/4a/6579)***; 1822, 1824-1825 (618/2/95); 1826-1828 (618/2/96); 1829-1830 (618/2/97); 1832-1833 (618/2/98); 1834-1835 (618/2/99); 1837-1838 (618/2/100); 1839-1840

(618/2/101); 1841-1842 (618/2/102); 1843-1844 (618/2/103); 1845-1846 (618/2/104); 1847-1848 (618/2/105); 1849-1850 (618/2/106); 1851-1854 (618/2/107); 1856, 1862-1863 (618/2/108)

7. 1818-1821 (618/2/94); 1821-1895 (201/4a/6579)***; 1822, 1824-1825 (618/2/95); 1826-1828 (618/2/96); 1829-1830 (618/2/97); 1832-1833 (618/2/98); 1834-1835 (618/2/99); 1837-1838 (618/2/100); 1839-1840 (618/2/101); 1841-1842 (618/2/102); 1843-1844 (618/2/103); 1845-1846 (618/2/104); 1847-1848 (618/2/105); 1849-1850 (618/2/106); 1851-1854 (618/2/107); 1856, 1862-1863 (618/2/108)

10. H.: 1821 (618/2/94)

11. * zapis z 1822 roku; ** zapis z 1826 roku; *** bez wiosek; ****
Zobacz też osobno

2. Gliniany. 3. Parafia Gliniany.

4. Bałuczyn (pow. Złoczów), Bohdanówka, Bortków (powiat Złoczów), Wiktorówka (pow. Lwów), Zadwórze***, Zamoście**, Żeniów**, Krzywice, Przegnojów**, Podbór (pow. Złoczów), Połtew**, Skniłów** (pow. Lwów), Słowita, Stadnia (pow. Złoczów?), Jaktorów.

5. 1817-1819, 1822-1824 (618/2/281); 1825-1826, 1835-1841 (618/2/282); 1842-1848 (618/2/283); 1849-1855 (618/2/284); 1855-1895 (618/2/2858)*; 1856-1861, 1863 (618/2/285); 1866-1876 (618/2/2341); 1877-1889 (618/2/2342); 1890-1900 (618/2/2343); 1901-1910 (618/2/2344); 1911-1914, 1916-1920, 1922-1927 (618/2/2859)

6. 1817-1819, 1822-1824 (618/2/281); 1825-1826, 1835-1841 (618/2/282); 1842-1848 (618/2/283); 1849-1855 (618/2/284); 1856-1861, 1863 (618/2/285); 1866-1877 (618/2/2341); 1878-1908 (618/2/2858)*; 1878-1889 (618/2/2342); 1890-1900 (618/2/2343); 1901-1910 (618/2/2344); 1911-1914, 1916-1920, 1922-1927 (618/2/2859)

7. 1817-1819, 1822-1824 (618/2/281); 1825-1826, 1835-1841 (618/2/282); 1842-1848 (618/2/283); 1849-1855 (618/2/284); 1855-1923 (618/2/2858)*; 1856-1861, 1863 (618/2/285); 1866-1877 (618/2/2341); 1878-1889 (618/2/2342); 1890-1900 (618/2/2343); 1901-1910 (618/2/2344); 1911-1914, 1916-1920, 1922-1927 (618/2/2859)

11. * bez wioski; ** Zobacz też osobno, *** od 1913 roku Zadwórze było osobną parafią

2. Hanaczów. 3. Parafia Hanaczów.

4. Hanaczówka, Mikołajów (powiat Bóbrka), Podsosnów (powiat

Bóbrka), Podjarków (powiat Bóbrka), Stanimirz

5. 1816-1819, 1821-1827 (618/2/275); 1828-1832, 1834-1838 (618/2/276); 1840-1845 (618/2/277); 1846-1849 (618/2/278); 1850-1855 (618/2/279); 1856-1861, 1863 (618/2/280); 1866-1883 (618/2/2336); 1884-1897, 1899-1900 (618/2/2337); 1901-1914, 1916 (618/2/2675); 1917-1928, 1930-1931 (618/2/3000)

6. 1816-1819, 1821-1827 (618/2/275); 1828-1832, 1834-1838 (618/2/276); 1840-1845 (618/2/277); 1846-1849 (618/2/278); 1850-1855 (618/2/279); 1856-1860, 1863-1864 (618/2/280); 1866-1883 (618/2/2336); 1884-1895, 1897, 1899-1900 (618/2/2337); 1901-1914, 1916 (618/2/2675)

7. 1816-1819, 1821-1827 (618/2/275); 1828-1832, 1834-1838 (618/2/276); 1840-1845 (618/2/277); 1846-1849 (618/2/278); 1850-1855 (618/2/279); 1856-1860, 1863-1864 (618/2/280); 1866-1883 (618/2/2336); 1884-1897, 1899-1900 (618/2/2337); 1901-1914, 1916 (618/2/2675)

2. Kimierz. 3. Parafia Świrz

4. Ostałowice

5. 1853-1906 (201/4a/6668)

6. 1895-1939 (618/2/3154)*

11. * z Niedzieliskami

2. Kopań. 3. Parafia Świrz

6. 1855-1883 (618/2/2417)

2. Kosteniów. 3. Parafia Przemyślany

5. 1847-1877 (201/4a/2686)

2. Kurowice. 3. Parafia Wyżniany

5. 1859-1901 (618/2/2427)

2. Nowosiółka. 3. Parafia Dunajów

5. 1821-1925 (618/2/2978)

6. 1821-1861, 1863-1896, 1898-1933 (618/2/2729)

7. 1848-1857, 1859-1927 (618/2/2729)

2. Peczenia. 3. Parafia Wyżniany

6. 1922-1923, 1926-1938 (618/2/3136)

2. Pohorylce. 3. Parafia Wyżniany
4. Alfredówka, Koszyce (pow. Lwów?), Łahodów, Podhajczyki, Turkocin
5. 1892, 1904-1914, 1916-1920, 1922-1926 (618/2/2976)
6. 1892, 1904-1914, 1916-1920, 1922-1926 (618/2/2976)
7. 1892, 1904-1914, 1916-1920, 1922-1926 (618/2/2976)

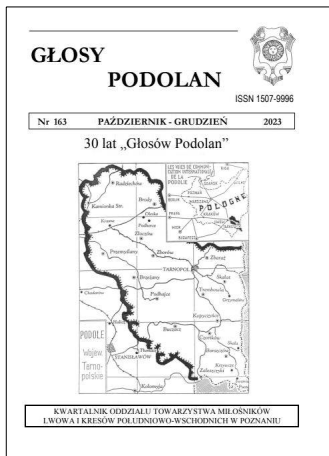
Cdn.

Informacje

Na stronie www.pamiecitozsamosc.pl znajduje się opis pomocy niesionej Żydom przez rodzinę Wójtowiczów w Hanaczowie.

+ + + + + + + +

Dzięki uprzejmości redaktora „Głósów Podolan”, p. Igora Meggera, otrzymaliśmy ostatnio wydany zeszyt nr 163.



Oprócz wspomnień publikacja zawiera analizę traktatu ryskiego, najważniejsze wydarzenia związa-

ne z 30-leciem Klubu Podole i aktualności tego związku. Zeszyt zawiera piosenki i wiersze.

+ + + + + + + +

Wykaz szkół i szkółek ludowych w powiecie Przemyślany, które bądź w całości bądź częściowo są utrzymywane przez TSL lub pozostają pod opieką kół. W roku 1910 były w miejscowościach: Ciemierzyńce, Krosienko, Laszki Królewskie, Lipowce, Łahodów, Łonie, Markowa, Nowosiółka, Pohorylce, Połonice, Połtew, Przegnojów, Słowita, Tuczne, Zadwórze i Wiśniowczyk.

+ + + + + + + +

W r. 1535 w czasie wielkiej wojny Litwy z Moskwą, sprzymierzeńcem Petryły, podnosi się liczba wojska na Rusi koronnej do 3.432 jazdy i 500 piechoty. Takie ilości wykazał popis, przeprowadzony przez pisarza, Jana Kłajskiego, 24 czerwca 1535 r. w Glinianach.

+ + + + + + + +

Rada szkolna w Przemyślanach w 1896 r.: Przewodniczący - Jan

Jahner (starosta), Zastępca - Zygmunt Bilski (ks. proboszcz parafii przemysłańskiej), Inspektor - Włodzimierz Witoszyński. Członkowie - Stanisław Wybranowski (właściciel ziemski), Florian Stormke (delegat rady powiatowej), Roman Koncewicz (ks. kan. zastępca, wyznanie grekokatolickie), Wolf Hausmann (zastępca, wyznanie izraelickie), Franciszek Launhardt (zastępca, wyznanie ewangelickie), Hilary Dobrzański i Piotr Reichert (nauczyciele, reprezentanci zawodu nauczycielskiego).

+ + + + + + + +

W książce Aleksandra Wybranowskiego pt. *Ongi w dworach i dworkach szlacheckich* (str. 69) mamy urywek związany z powiatem przemysłańskim. „A w starych lasach, zanim obrócono je na karczunek, można było widzieć ślady dawnej kultury rolnej. Widać, że wsie zniszczone przeniosły się na inne miejsca, a ziemia opuszczona sama się zalesiła. Taki ślad zagonów widziałem jeszcze (...) pod Przemyslanami, w lasach uszkowieckich. (...)

Czytałem kontrakt o staw z roku 1635, gdzie szlachcic Piotr Klius w dobrach swoich Kurowice sprzedaje spust stawów, a mianowicie stawu zwanego Dziurny, i drugiego, przyległego Walentemu Augustynowiczowi, rajcy lwowskiemu, za 180 złr., zastrzegając sobie ryby do stołu na wszystkie posty.”

+ + + + + + + +

Muzeum Romana Szuchewycza we Lwowie zostało doszczętnie zniszczone w rosyjskim ataku przeprowadzonym w poniedziałek (1.01.2024 r.) nad ranem. Szuchewycz był głównodowodzącym Ukraińskiej Powstańczej Armii, odpowiedzialnym za ludobójstwo Polaków na Kresach Wschodnich. W budynek muzeum trafił prawdopodobnie rosyjski dron.

+ + + + + + + +

Polska miała w ubiegłym roku szkolnym (1931) 70 118 nauczycieli w szkołach powszechnych i ponad 4 miliony uczniów (4 113 341). Zredukowano 4 211 sił nauczycielskich. Poza szkołą pozostało jeszcze około pół miliona dzieci z powodu braku miejsca i sił nauczycielskich. W bieżącym roku pozostanie poza szkołą jeszcze więcej dzieci ponieważ liczba dorastających dzieci nie maleje, ale powiększa się.

Trzeba jeszcze zwrócić uwagę, że wiele dzieci nawet zapisanych do szkoły, nie będzie do niej uczęszczało z powodu ubóstwa rodziców. Przy postępującej stale nędzy wielu nie będzie mogło dać dzieciom ubrania, książek i różnych przyborów. (...)

+ + + + + + + +

Chirurgi w pow. przemysłańskim (1904 r.): Przemysłański - Ignacy Kostmann, Józef Sternberg; Gliniany - Salamon Kümmermann.

+ + + + + + + +

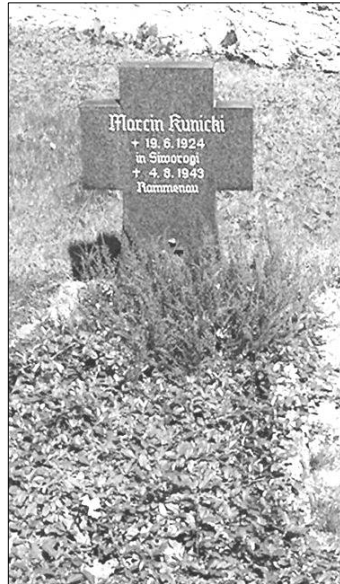
C. k. sąd obwodowy w Złoczowie ogłasza, że na zaspokojenie pretenzji galicyjskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego we Lwowie w kwocie 2304 zł. 21 cet. odbędzie przymusowy sprzedaż folwarku Henryka Góra z dóbr Baczowa i Podusilnej wydzielonego w powiecie Przemysłańskim położonego Dom. 506 pag. 441 haer. 1 zapisanego w tutejszem zabudowaniu sądownym dnia 18 marca 1880 o godzinie 10 przed południem, jednak nie niżej jak za kwotę 4000 zł. Cena wywołania wynosi 8200 zł.

Wadyum wynosi 410 zł., a dalsze warunki przejrzeć można w registraturze. Dla wierzycieli, którzy by po dniu 15 marca 1879 r. do tabuli weszli lub którym by uchwała licytację pozwalająca, lub dalsze licytacji albo ekstrykacyi dotyczące uchwały wcale lub wcześniej nie zostały doręczone, ustanowiono adwokata dra Wesołowskiego z zastępstwem przez adwokata dra Mijakowskiego na kuratora. Złoczów dnia 31 grudnia 1879.

+ + + + + + + +

Grób Marcina Kunickiego z Siworogów (zdjęcie poniżej). Zginął,

mając zaledwie 19 lat, 4 sierpnia 1943 roku w wyniku tragicznego wypadku – utopił się w rzece podczas kąpieli. Jego grobem do dziś opiekuje się rodzina z Rammenau. (Saksonia, powiat Budziszyn)



+ + + + + + + +

Zapraszam serdecznie do współpracy przy redagowaniu zeszytów „Spotkań Świrzan”. Przesyłając wspomnienia, fotografie i inne dokumenty Czytelniczy wzbogacą zasób wiedzy o naszych Kresach.

Spotkania Świrzan - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. nr 167. Zebrał, opracował i wydał - Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6, tel. 76-74-94-125, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl. Wydano w Lubinie, II 2024 r. Druk MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie - bez ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.